

## CZEŚĆ CZWARTA

### Sezon pogoni

Lepsze od gór mogą być tylko góry!

Linijka z gnomiego hymnu

Teren stawał się coraz bardziej pagórkowaty. Jeszcze trzy dni temu, na wszystkie cztery strony rozciągała się ponura równina, na której miarowo falowała pożółkła ostnica, ale od jakiegoś czasu ziemia rozeszła się falami, wyszczerzyła się laskami i popękała marnymi rzeczulkami, o głębokości jak koniowi po kolana. Z każdą wiorstą „fale” rozciągały się wzwyż i wszcz, tak, że droga ostatecznie zmęczyła się wspinaniem na nie i wołała je omijać. Iglaste lasy zmieniły się w liściaste, o nieznanym Orsanie drzewach, rozłożystych, z ogromnymi, jak dłoń liśćmi. Wal nazwał je „wagórcnymi zbyrrami”, Rolar złagodził określenie do „wilczych orzechów”, nietrujących, ale niezbyt jadalnych. Miejscami pnie całkowicie zasłaniał porastający je bluszcz, pokryty kiściami drobnych kwiatków. Z nastaniem ciemności kwiaty zaczynały wydzielać nektar i mdły aromat, od którego ścisnęło w skroniach. Orsana nie mogąc się powstrzymać, nadstawiła dłoń i zlizwała kilka słodkich kropelek. Otruć się nie otruła, ale pokryła się takimi kolorowymi jasno-szafirowymi plamami, że widząc ją rankiem na w półsypiający Rolar z Walem, z przerażenia chwycili za miecze, a Len — za brzuch.

Dziewczyna obraziła się na wszystkich trzech i nie rozmawiała z nimi do obiadu, udając, że nie zwraca uwagi na ich dwuznaczne spojrzenia i późniejsze stłumione uśmiešky.

U podnóża wzgórz dość często trafiały się wioseczki — małe domki kupkami tłoczyły się na nizinie, w górę, po zboczach, ciągnęły się pasy uprawnych pól i sadów, a patrząc na nie odnosiło się wrażenie, że miejscowi sadownicy przywiązują każde jabłuszko sznureczkiem, ażeby potem nie szukać ich wiorstę poniżej, w pokrzywie. Żyły tu najczęściej gnomy, a także i osiadłe orki — te wołały zamiast uprawą roli, zajmować się stadami rozzierajaco becących owiec, czasem na kwadrans zagrządzających drogę. Zresztą, spotykało się i ludzkie osiedla i mieszane. Odróżnić je można było po tychże sadach i bydło — gnomy wysadzały drzewa owocowe długimi, wąskimi pasmami, a same jabłonki bardziej przypominały krzewy, ledwie sięgające idącemu człowiekowi do czubka głowy. Małe ciemnorude kozy chciwie patrzyły na nie z ukosa, zza solidnego ogrodzenia. Ludzie woleli bardziej solidną żywność, w

rodzaju krów i koni, pasących się wśród przysadzistych drzew.

A potem horyzont zaciągnął się szaroniebieską mgiełką, po jeszcze dziesięciu wiorstach zgęstniał w pasek z zębatym wierzchem.

— Elgar.

Rolar uniósł się w strzemionach, chociaż dodatkowa para werszków chyba nie mogła nic zmienić — podróżnicy i tak stali na szczycie bardzo wysokiego wzgórza. Słusznie, Len na Wolcie i Rolar na Kianiance<sup>1</sup>, pełnej wdzięku kobyłce-k'iarde, oryginalnego, złocistego umaszczenia, z ciemnokasztanowymi podpaleniami na nogach i pysku. Wianek Orsany, schyliwszy pysk, wytrwale wdrapywał się w górę, a następna w kolejce zdechlina Wala ze wstrętem spoglądała na wzgórze, nie chcąc zaczynać wspinaczki nawet pod groźbą przerobienia na kielbasę, co ze szczegółami opisywał troll.

— Daleko jeszcze?

— Zwodniczy dystans. Jeśli po prostej — dwa dni jazdy. A musimy przejechać jeszcze nie mniej niż trzy. Może zrobimy postój i coś przekąsimy?

Len obejrzał się na zasapaną, ale zadowoloną Orsanę, która przez ostatnie czterdzieści sążni ciągnęła za uzdę konia i kolejny już raz ledwie powstrzymał się od śmiechu. Pod wieczór dziewczyna nieco wyblakła, ale mimo wszystko robiła wstrząsające wrażenie.

— No to tak zrobmy. Potem zejdziemy po przeciwległym zboczu, Wal jak raz zdąży objechać.

Troll już i sam stracił nadzieję na obudzenie w swojej gadzinie ducha górskiego kozła, skierowawszy ją na lewo od drogi. Brudnobura szkapa w rzeczywistości okazała się niezmordowana, pozostając w tyle za k'iardem i Wiankiem podczas galopu, ale niezmiennie ich doganiając, kiedy wyczerpawszy siły przechodziły w trucht.

Orsana zwała się na trawę, namacała i odwiązała od pasa manierkę, zrobiła kilka zachłannych łyków.

— Uf... dobrze, że Wolha z nami nie pojechała — tu i zdrowy nogi połamię! Wygląda na to, że tobie rzeczywiście udało się ją mocno rozzłościć...

Len tylko westchnął, schodząc z konia.

— Ale — kontynuowała dziewczyna, zatykając manierkę, — czy jesteś pewny, że wystarczająco mocno?

— Znając Wolhę? — Władca Dogewy podrapał za uchem łaszącego się ogiera, jeszcze raz spojrzął na góry i z przygnębieniem pokiwał głową. — Nie.

---

<sup>1</sup> Kianianka – roślina z rodziny powojowatych: <http://pl.wikipedia.org/wiki/Kianianka>, odzwierciedla charakter konia

\* \* \*

Posepnie zajrzałam do kubka, po brzegi wypełnionego jakąś kisielopodobną cieczą zielonkawego koloru, wydającą z niczym nie dający się porównać, aromat pomyj z wiadra.

— Wypij skarbeńku, — z wyglądem doświadczonej trucicielki zagruchała Kella. — Tobie od razu ulży!

— W sensie, że będzie po wszystkim?

Wampirzyca prychnęła z urazą i już bez specjalnych ceremonii wepchnęła mi kubek w ręce.

Smak niczym nie ustępował zapachowi, ale znałam Kellę i dalsze kapryśnienie było niebezpieczne. Zabandażowana noga, ułożona na wysokiej poduszce, miała się całkiem dobrze — dopóki nie próbowałam używać jej zgodnie z przeznaczeniem. A do ozdoby łóżka nadawała się — nawet bardzo. Welka spoglądała na solidne dzieło swoich rąk z kiepsko skrywaną dumą. Magicznego łupka dodatkowo nakładać nie zamierzała i mi nie pozwoliła — niby to, żebym czuła powagę swojego stanu.

Przekonawszy się, że kubek jest już pusty, Kella z uśmiechem klapnęła mnie po brodzie, zmusiwszy taką niespodzianką do połknięcia przetrzymywanego przez mnie w ustach leku (ja jak raz kombinowałam, gdzie by go niepostrzeżenie wypluć). Ignorując oburzone sapanie pacjentki, zielarka zabrała ze sobą świecę i wyszła do kuchni, zamknąwszy za sobą drzwi.

Zmęczona oparłam się o poduszkę, patrząc w szary kwadrat okna. Od chwili wyjazdu przyjaciół na ulicy nie cichła słota. Wiatr zrywał z drzew reszty liści, z wilczym skowytym pędził na zachód niskie, kudłate chmury, coraz to rozpętujące się deszczem na znak protestu. Głowa była ociężała, miałam lekkie dreszcze, ale o śnie nawet nie myślałam.

Tak więc, gdzie ich poniosło?! Pierwsza niepohamowana złość na Lena (żeby cię szlag trafił, łajdaku!) zmieniła się zwykłą (ja ci jeszcze pokażę!), potem w niepokój (a jeśli naprawdę szlag go trafi?), potem w prawdziwą panikę (a jeżeli już go szlag trafił?!). Leszy z nimi, z zaręczynami, niezbyt ich chciałam! Moi przyjaciele gdzieś tam przedzierają się przez huragan, mokną na deszczu, walczą za mnie, a może i giną, a ja wyleguję się w łóżku, obraziwszy się z powodu jakiegoś durnego pierścienia! Niedoczekanie!

Zielarki cichutko szeptały w kuchni, czasami tylko z rezerwą chichocząc i pobrzękując flakonikami — widocznie, dzieliły się doświadczeniem, nie podejrzewając, jaką czarną niewdzięcznością planuje im się odpłacić ich podopieczna.

Co prawda, plan na razie nie miał racji bytu. Wyjść z domu niepostrzeżenie, tak żeby Kella nie widziała — niewykonalne, wampirzyca wykryje mnie już na progu. Można, oczywiście, uspić ją zaklęciem, ale wtedy natychmiast rzuci się na mnie Welka. Nie będę przecież rzucała w nią bojowymi pulsarami!

Nie żeby wstyd (mimo wszystko najlepsza przyjaciółka!), ale przecież jak zaświeci w odwecie pulsarem — wiele nie zdziałam!). I co potem? Torba leżała na krześle, miecz wisiał na jego oparciu, ubranie, najprędzej w szafie, ale co z koniem? Piechotą daleko nie zajdę, a wioszczka głucha, czy tu w ogóle można zdobyć wyścigowego konia, tym bardziej nocą. Żywo wyobraziłam sobie, jak jadę wierzchem na tłustej szkapie, wlokącej się w tempie orka po rzadkim lesie i oburzone zielarki, lekkim truchtem biegnące po obu stronach i na wyścigi prawiące mi morały. Brr... Skuliłam się i wyżej naciągnęłam kołdrę. Nie, trzeba wszystko dokładnie przemyśleć! Mam tylko jedną szansę, potem te harpie nie omieszkają przykuć mnie do łóżka w dosłownym sensie — łańcuchem ze studni, na którą Kella z pożądaniem spojrzała z ukosa przy słowach Lena, ale widocznie, zdecydowała się wykorzystać tę radykalną metodę w ostateczności.

I nagle ktoś zatarabanił w drzwi i do tego tak głośno i desperacko, jak gdyby zamierzał przebić w nich dziurę na wylot, jeżeli gospodarze nie otworzą. Rozmowa urwała się w mgnieniu oka. Skrzypnęło krzesło, a po nim — zasuwa. Szum deszczu przybrał na sile, od drzwi pociągnęło wilgocią i zapachami mokrej ziemi.

— Dziewuszki miłe, ratujcie! — zatrajkotał łkający męski głos, coraz to zanosząc się szlochom. — Moja żona tam rodzi, cała doba już minęła i jakoś nic, w żaden sposób, umęczyła się już całkiem... czy nie racycie spojrzeć? Zapłacę, nie miejcie wątpliwości!

Rozległo się ściszone brzęknięcie. Jedna monetka, widocznie, wysliznęła się z trzęsących się rąk i upadła na podłogę, przetoczywszy się przez całą kuchnię.

— Tam — to gdzie? — rzeczowo uściśliła Kella.

— Na drugim krańcu wsi, dwadzieścia domów dalej! Mnie szwagierka powiedziała — niby to, że zatrzymały się u jej sąsiadki dwie znachorki, całkiem i młodziutkie, ale jakie kompetentne, w ciągu pięciu minut ją z jęczmienia wyleczyły, więc pomyślałem — może, raczą...

— Jasne — przerwała trzystuletnia wampirzyca. — Poczekajcie chwilkę na ulicy, naradzimy się.

Mężczyzna bez słowa sprzeciwu wysliznął się na podwórze. Moneta, zdaje się, tak i nadal leżała gdzieś pod stołem.

Sądząc po ciszy, która zapadła, narada zielarek polegała na wymianie wiele mówiących spojrzeń.

— Pójdę ja — zdecydowała wreszcie Kella. — Odbierałam już porody u ludzkich kobiet — mało skomplikowane, ale zasada taka sama. A ty nie spuszczaaj oka od naszej rudej jędry (w myśli pogroziłam zielarce pięścią). Mam przeczucie, że ona coś zamyśla.

— Po dziesięciu kroplach „Miodowego marzenia sennego”? — sceptycznie prychnęła Welka.

— Ona była Opiekunką, a na wampiry ludzkie leki działają słabiej. Ja potrzebowałabym nie mniej niż czterdzieści.

„Zapamiętam” — pomyślałam mściwie.

— Na pewno teraz ona jeszcze nie śpi — kontynuowała Kella, utwierdzając mój pogląd, że mając takich przyjaciół i wrogów nie trzeba. — Tak, że na wszelki wypadek nie opuszczaj pokoju do mojego powrotu.

— Dobrze. Weź parę ręczników i te oto flakoniki, z ciemną nalewką... — Zielarki zamieniły ze sobą jeszcze parę fachowych zdań i szybko się pożegnały.

Dwoje drzwi — wejściowe i wewnętrzne — trzasnęły równocześnie.

Jak najszybciej zamknęłam oczy i wyrównałam oddech. Welka podeszła do łóżka. Pochyliła się, oglądając moją podejrzaną spokojną fizjonomię. Chciałam zachrapać, aby być bardziej wiarygodną, ale pomyślałam, że to będzie przesada. Zadowolona z oględzin zielarka usadowiła się na krześle koło okna, plecami do niego, postawiwszy na parapecie spodeczek z palącą się świecą i położywszy na kolana opasy folia<sup>2</sup>.

Podstępnie obserwowałam przyjaciółkę spod przymkniętych powiek. Cień rzucany przez rzęsy dawał wspaniałe maskowanie. Kella wróci nie wcześniej niż za godzinę, albo i na całą noc ugrzęźnie. Zobaczymy ile Welka wytrzyma! Pamiętam, że gdy po nocach razem przygotowywałyśmy się do egzaminów, to raz po raz siebie nawzajem w bok szturchałyśmy — sam wygląd małym drukiem zapisanych stron wywoływał niepohamowane ziewanie.

— Wolha — cicho zawołała dziewczyna, odrywając się od książki i patrząc na mnie wprost.

Potrzebowałam wszystkich sił, żeby nie drgnąć. Za to zielarka, przeczekawszy, z ulgą westchnęła i odprężyła się, założywszy nogę na nogę. Uniosła wyżej książkę i ledwo nie zaczęłam jęczeć z złości — w rękach u Welki znajdowała się miłosna, elficka powieść, do tego jeszcze i z rycinami. Nad taką książką swobodnie mogła przesiedzieć do świtu.

---

<sup>2</sup> foliał inaczej foliant: wielka, gruba księga formatu połowy arkusza drukarskiego, tj. 30 na 42 cm:

Minęło około pół godziny. Ziele zaczęło działać, ale jak Kella i przewidywała, nie tak silnie, a ja uparcie walczyłam z snem. Zielarka cicho szlochała w chusteczkę, z rzadka wynurzając się z niej, żeby przeczytać jeszcze parę cikliwych linijek i zacząć zalewać się łzami z nową siłą. Uwzględniając, że wszystkie porządne miłosne historie kończą się albo weselem, albo śmiercią, sprawa w sposób oczywisty skłaniała się ku drugiemu wariantowi.

Deszcz zmienił się w zacinającą ulewę, gniewnie łomoczącą po dachu. Niebo przecięła rozgałęziona błyskawica, gdzieś na zachodzie zrzędliwie odezwał się grzmot. Welka czując chłód, wzruszyła ramionami i nie odrywając wzroku od książki, odsunęła się od okna. Nie minęło i pięć minut, jak z okna ponownie chlusnęło zimnym, białym światłem, w którym mignęła i natychmiast rozpląnęła się w ciemności czarna, straszna, szczerząca się mordą z płonącymi oczami.

Chyba nawet kubek lodowatej wody nie wywarłby na mnie tak orzeźwiającego efektu. Senność jakby wiatr zdmuchnął, kurczowo wpiłam się palcami w materac. Uciekaj!!! Przynajmniej przesun się w bok, za róg domu, póki ona ciebie nie zauważyła!

Płomień świecy zaskwierczał i zamigotał, poruszywszy cieniami. Zielarka przelotnie spojrzała w okno i uspokojona, znowu pogrążyła się w czytaniu.

Tak, teraz przede wszystkim — wziąć się w garść i skoncentrować się. Sprawa nie w tym, czy potrafię to zrobić, ale czy uda mi się wcielić plan w życie, tak aby zamyślona Welka niczego nie zauważyła? Chociaż doskonale włada praktyczną magią, ale takiego wyczucia na magię zielarka nie ma... i jeśli po-o-owli, delikatnie, skoncentruję się na dachu tej tam szopy za ogrodem i wyładuję wystarczającą ilość mocy...

Wnętrze chmury błysnęło brudnopurpurowym płomieniem. W następnej chwili strzeliła stamtąd łamana, rozdwarzająca się w dół błyskawica, która rozwścieczoną zmija z hukiem i trzaskiem wbiła się w szopę zębami. Snop iskiek skoczył w górę, powyżej drzew, płonąca słoma pryskała na wszystkie strony. Nie zważając na deszcz, płomień objęły szopę od góry do dołu. Wewnątrz rozdierająco zaryczała krowa, zabeczały owce.

Gdyby Welka nie była tak zaskoczona, domyśliłaby się, że sąsiadka na pewno uprzedziłaby ją o zamkniętym w chlewku bydle. Tak i kto trzymałby krowę w zbitej z desek szopie, pośrodku ogrodu?! Upuściwszy książkę, zielarka zerwała się na nogi i rzuciła do drzwi, a potem z powrotem, z zakłopotaniem utkwivszy we mnie wzrok. Nie otwierając oczu, mruknełam coś niewyraźnie żalnego i odwróciłam się do ściany, naciągnawszy kołdrę po sam czubek głowy.

Nie zdążyła zgrzytnąć zasuwa, gdy już siedziałam na łóżku, bardzo szybko szepecząc zaklęcia. Jednym machnięciem wślizgującego się w rękę miecza rozprułam i zdarłam stertę bandaży razem z łupkami, opuściłam nogi na podłogę i rzuciłam się do krzesła z ubraniem.

Zaraza!!!

Dodała składnik znieczulający. Parę razy dotknęłam przygryzionej wargi, zlizawałam krew z palców, złapałam się oparcia łóżka i jakoś wstałam. Opuchnięta, o wesolutkiej niebieskiej barwie noga, z trudem przecisnęła się przez nogawkę, stanowczo odmówiwszy zgięcia się w tym celu. Dokuśtykałam do okna, otworzyłam szeroko okiennice. Podjudzony wiatrem deszcz smagnał po twarzy, jak mokrą miotłą. Pomimo pośpiechu, Welka szybciej niż zazwyczaj, zaczarowała drzwi, tak, że nie miałam kiedy się zorientować, jakiego zaklęcia dokładnie użyła. Zielarka bardzo szybko zorientuje się, że duża część płomieni — jest iluzoryczna, tak jak i wołających o pomoc krasul nie daje się zauważyć w szopie...

Zacisnąwszy zęby, sięgnęłam do okna. Do połowy proces szedł dość pomyślnie, ale potem skończyła się moja zdrowa część i zaczęła niezginająca. Myśl, że ucieczka nie powiedzie się tylko dlatego, że utknęłam w oknie, dodała mi jednak siłę, aby się jakoś wygramolić i plasnąć w jakieś kwiaty pod parapetem, jak dla mnie mające nader przeżuty wygląd.

— Smółka!!! — krzyknęłam wysiłonym szeptem.

Słysząc było tylko szum deszczu na liściach i daleki trzask gasnącego pożaru. Zastygłam na kolanach, czując, jak z nową siłą ogarnia mnie rozpacz. Czyżby mi się przywidziało? Co też jeszcze Kella domieszała do swoich ziółek?! I cóż mam teraz robić?!

A potem kobyłka bezszelestnie wysliznęła się z ciemności za moimi plecami, ufnie szturchnąwszy mnie w policzek aksamitnymi chrapami. Mokra, rozczochrana, z wyrwanym z grzywy strzępem, ale żywa i taka droga, że ledwo się nie rozplakałam.

— Wybacz mi, dziewczynko — mruknęłam, drżącą ręką wymacując koński kłęb. — Też nie jestem w najlepszej formie, ale powinnyśmy to zrobić... Ghyr jopp kurat!!! Smółka, nie mogłabyś przysiąc? I z dwiema nogami ledwie do twoich pleców doskakiwałam...

Konik głośno westchnął i odczekawszy chwilę, ugiął kolana. Jakoś wdrapałam się na siodło, uczepiłam się przedniego łęku i delikatnie pchnęłam kobyłkę lewą piętą. Smółka z jawnym wysiłkiem wyprostowała się, zastękała jak staruszka, ale bądź co bądź ruszyła z miejsca. Wymacałam lewe strzemie i tęsknie spojrzałam na prawe. Trzeba było od razu nogę włożyć, w wiszącej



pozycji prawie się nie poruszała. Zgoda, niech zwisa, wszystko jedno, ja jej i tak prawie nie czuję...

Już w połowie wyjechałyśmy z bramy, kiedy kolejna błyskawica na chwilę wybieliła okolicę, zarysowawszy w otworze ogrodowej furtki sylwetkę straszniejszą od upiora, gorszą od bazyliuszka i niebezpieczniejszą od smoka.

— Wolha!!!

Zadrzałam i jeszcze bardziej wcisnęłam się w siodło, jak kotka która zrobiła szkodę. Zresztą, w pojawieniu się rozgniewanej zielarki były i pozytywne elementy: ze strachu, jakimś cudem znalazłam sposób, aby podciągnąć i wepchnąć złamaną nogę w strzemię. Smółka, połapawszy się, że gospodyni takim oryginalnym sposobem chyba nie okazuje radości ze spotkania z tym cudownym widokiem, zwiększyła tempo — w dół wzdłuż ulicy, gdzie łatwiej wiać. Parę razy się potknęła, potem jakby przyszła do siebie i poszła ciężkim galopem.

Grom uderzył z dużym opóźnieniem, gdzieś daleko za lasem. Burza odchodziła. W chmurach pojawiły się prześwity, ale na razie nawet padał z nich rzadki deszcz. Wieś tonęła w mroku. Okienka świeciły się tylko w naszej i jeszcze jednej chałupie, do bramy której jak raz podjeżdżałyśmy. Zaciekawiona skrzypieniem drzwi, nie mogąc się pohamować, rzuciłam okiem na podwórze i po raz pierwszy na poważnie zastanowiłam się, dlaczego też bogowie mnie tak nie lubili: na ganku ukazała się Kella. Za nią, nieustannie się kłaniając i mamrocząc: „Niech błogosławią cię bogowie, dziecko!” — dreptał niedawno widziany chłop, próbując wepchnąć wampirzycy jeżeli nie sakiewkę, to chociażby płócienny worek, z którego wystawały dwie nieruchome kaczki łapy. Na drugim planie, z oburzeniem, na dwa głosy wydzierały się nowo narodzone dzieci. Zielarka wymawiała się oziębłe, ale wyglądała na zadowoloną.

Właśnie co dopiero „wyglądała”. Potem zobaczyła mnie ze Smółką.

Jak na złość, wzdłuż długaśnej ulicy, zwartą ścianą ciągnęły się płoty o wysokości dwóch arszynów. Innym razem kobyłka z łatwością wzięłaby taką przeszkodę, ale dzisiaj był zdecydowanie nie nasz dzień (nawet bym powiedziała, miesiąc). Powrotną drogę zagradzała Welka i logicznie doszłam do wniosku, że jedno warte drugiego. Chociaż...

— Wolha-a-a!!! — Głos Kelly zmienił się w ultradźwięk.

Niestety, za dobrze wiedziałam, co to oznacza i dlatego patrzeć z lubością na dalszy rozwój wydarzeń nie miałam najmniejszej chęci. I bojaźliwie nasunawszy kaptur po sam czubek nosa, ze wszystkich sił uderzyłam konia zdrową nogą.

Możliwe, że ominęłam to, co najbardziej pasjonujące — na przykład, ojca



wyraźnie dołączającego do rodziny, obrazowo popadającego w omdlenie, bynajmniej nie ze szczęścia — ale wcale nad tym nie ubolewałam. Ledwie zdążyliśmy przelecieć koło bramy, jak z niej (a dokładnie, już nad nią) z zamiarem przecięcia nam drogi wystrzeliła grudka mgły o dużych kłach, głośno trzepocząc skrzydłami. Nie zdążyła, przeleciała za naszymi plecami, chlasnąwszy wiatrem i z zawiedzionym wyciem poleciała zrobić nawrót, w górę i na lewo.

Na Smółce płot także zrobił wrażenie. Jeśli wcześniej deski w płocie po prostu migwały przed oczami, to teraz zlały się w nieprzerwane pasmo, w którym ciemnymi plamami przemykały bramy pod szerokimi daszkami. Zaczynający drzemać pośrodku drogi pies, w ostatniej chwili ze skomleniem wywinął się spod końskich kopyt; kobyłka potknąwszy się, szarpnęła się w bok, a nad nami zaszeleścił i daleko wyprzedziwszy, wyrznął w drzewo jasnozielony pulsar. Nie eksplodował, a jak gdyby rozsmarował się po pniu, w jednej chwili oplątując go migoczącymi nićmi łowczej sieci.

Machnęłam głową i kaptur spadł na plecy. Następny pulsar wykonał pełną wdzięku pętlę i udał się pod adres zwrotny. Oczywiście nie doleciał, ale przynajmniej przeszkodził Welce stworzyć jeszcze jednego. Kiedyś przecież ta ulica musi wreszcie skrócić albo się skończyć?! Widać nas tu jak na dłoni, zielarka nie musi nas nawet koniecznie widzieć, żeby walić zaklęciami!

Wizg zbliżał się nieubłaganie. Moje włosy, nie wytrzymawszy zmagania się między nim, a idącym z naprzeciwka wiatrem, stanęły dęba. Z trudem powstrzymałam się od pokusy rzucenia cugli i zatkania uszu dłońmi, wykrzyknęłam kilka słów, nie usłyszawszy własnego głosu. Wampirycę odrzuciło w bok i kilka razy obróciło w powietrzu, ale do rezygnacji z pościgu nie zmusiło. Z przodu wreszcie wyłoniła się palisada obrzeża wsi, a za nią — ciemne pole z kompletnie już nieprzeniknionymi bryłami przenikających się nawzajem zagajników. Skrzydła wrót powoli zaczęły się rozsuwać, ciężko skrzypiąc osnutymi przez mgiełkę skobelkami. Otworzyły się mniej więcej w jednej trzeciej, drgnęły, zamarły i pomyślawszy trochę, zakołysały się i z powrotem zaczęły się zamykać. Zaciśnęłam zęby. Pomimo nocnego chłodu, po skroni prześliznęła mi się kropla potu.

Wrota jednym szarpnięciem otworzyły się na całą szerokość i tak samo chętnie się zatrzasnęły. Która z nas jest w końcu Mistrzem praktycznej magii?!

Wzmocniłam nacisk. Welka także się nie poddawała. Wrota przybliżały się z niebezpieczną szybkością, kłapiąc skrzydłami, jak smok paszczą. Smółka bez nadziei stuliła uszy i podobnie zmrużyła oczy, nie zwalniając biegu, gdyż z tyłu znowu narastał niewiele mniej obiecujący krzyk.

Ostatnie, rozpaczliwe pluśnięcie mocy — i skrzydła zamknęły się na samym koniuszku końskiego ogona, zatrzymawszy sobie na pamiątkę kosmyk. Krzyk urwał się głuchym uderzeniem, wrota wygięły się i zaspężynowały z powrotem. Było słycać, jak zachłystywał się szczekaniem pies. W chatach, jedna za drugą zapalały się światełka.

Kobyłka podobnie do wystrzelonego z kuszy bełtu wleciała w las, jak burza przeszła po krzakach i tylko zostawiają z tyłu trzysta sążni leśnej gęstwiny, przeszła w kłus, a potem w stęp. Nad głową, w prześwitach między koronami drzew a skrawkami chmur, migotały gwiazdy. Przesiąknięte wilgocią gałązki trzaskały pod kopytami, w głębi lasu ponuro pohukiwały sowy. Spadające z gałęzek krople stukały po kurtce i ziębiły nieosłonięty czubek głowy. Kaptur wydawał się czymś dalekim i niedostępnym.

Wyczerpana, przytuliłam się do końskiej szyi i zamknęłam oczy.

\* \* \*

— Nie było tu takich, dobry panie. — Chłop nerwowo oblizał wargi. — Już dwa tygodnie nikt tą drogą nie przejeżdżał, aha!

— Bresze<sup>3</sup>, — bezlitośnie skomentowała dziewczyna, wydawałoby się, całkiem pochłonięta zaplataniem długiego, jasnowłosego warkocza.

— I chata pewnie sama z siebie się spaliła? — Drugi rozbójnik kiwnął na jeszcze dymiący się zrąb pośrodku wioseczki.

W sąsiednich domach słycać było przyciszony rwetes, ale oprócz trzęsącego się ze strachu miejscowego opoja, nikt nie odważył się wyjść do podróżników. A i tego najprawdopodobniej, po prostu wypchnęli na stracenie.

— Aha. — Pijaczyna jak zaczarowany wytrzeszczał oczy na jasnowłosego przywódcę szajki. Wybór był nieduży, za to sugestywny: w roztargnieniu bawiący się nożem troll, z nieukrywaną złośliwością uśmiechający się wampir i ponura, płamista dziewczyna, uzbrojona nie gorzej od niejednego najemnika. — Szyber na noc nieszczelnie zasunęliśmy, węgielek i wypadł...

— I prosto na słomę — z fałszywym współczuciem przytaknął wampir.

— Aha... na przygotowaną na następny dzień rozpałkę. Wtedy ona i zaczęła się palić...

— Jakie nieszcście — z kamienną twarzą okazała współczucie dziewczyna.

— Nie — spokojnie powiedział jasnowłosy, także z naciskiem patrząc na chłopca, ale rozmawiając jakby sam z sobą. — Przez Zajęczy Gaj nie pojedziemy

---

<sup>3</sup> Bresze - Łże

i nie namawiajcie mnie na to. Tam jar na jarze i na pewno zamieszkały przez jakieś mięsożerne paskudztwo. A i pojechanie okrężną, wschodnią drogą także nam nic nie da....

Nieszczęsny „rozmówca” wyczuł, że pozostali usłyszeli, jak szczękają u niego zęby. Ciemnowłosy kontynuował w zamyśleniu badanie szczątków chaty. Dookoła całkiem spalonego zrębu nie było nawet małej otoczki wypalanej trawy, a na sąsiednich dachach — ani jednego czarnego punktu od iskier, jak gdyby pogorzelnisko skądś przyniesiono i ciśnięto pośrodku nietkniętego ogródka. Gasić go także nie próbowano. Najprawdopodobniej, nie zdążyli nawet okiem mrugnąć, jak magiczny płomień pochłonął wszystko, co mogło się palić.

— I cóż nam, nieszczęsnym, pozostało? — w zamyśleniu kontynuował nieznamy, cicho uderzając się dłonią po udzie. Wyglądał całkiem zwyczajnie i dlatego niewypowiedzianie strasznie. Czarny ogier stał pod nim jak wkopany, błyskając złymi jak u żmii oczami. — Najwygodniejsza i najkrótsza ścieżka przez koniczynową dolinkę, po której byśmy i pojechali, żeby nie wasza przyjacielska rada. Którą ja, ohydny wyrodek, paskudztwo z piekła rodem, żeby mnie szlag trafił, chyba zlekceważę...

— D-d-daryjcie... — tylko tyle potrafił wycisnąć chłop, czując że dusza lada chwila sama wyleci ze zdrewniałego ciała, nie doczekawszy się logicznego zakończenia „rozmowy”.

— Co? — Jasnowłosy ze zdumieniem wygiął brew. — Wyście przecież niczego podobnego mi nie powiedzieli. Bądźcie zdrowi, dobry człowieku! I dziękuję za pomoc.

W powietrzu błysnęła srebrna moneta, plasnąwszy w pył. Czarny ogier zachrapał i gwałtownie stanął na tylnych nogach. Jeździec nawet się nie poruszył, jak gdyby zespolił się z nim w jedno ciało. Złocista klacz bezszelestnie, z kocią gracją, powtórzyła za ogierem półobrót, podporządkowując się ledwie dostrzegalnym ruchom jeźdźca. Pozostali po prostu krzyknęli na konie, szarpiąc za cugle.

— N-n-nie ma za co, — szczerze zabeczał chłop i ledwo jeźdźcy skryli się za pagórkiem, siadł wprost na drodze, bezmyślnie wytrzeszczając oczy na błyszczący krążek z wytłoczonym królewskim profilem.

Dawno już mu się nie nawinęło napić się z tak wartościowego powodu. Pewnie na cały miesiąc starczy i to nie jemu jednemu...

\* \* \*

— Orsana, poczekaj. Nie tam skręciłaś.

Dziewczyna osadziła szybko mijającego rozstaje ogiera i wycofała do tyłu. Jeszcze raz spojrzała na drogowskaz, potem, ze zdziwieniem — na wampira:

— Ale przecież powiedziałaś...

Len przecząco pokręcił głową, dając przyjaciółom znak aby podjechali bliżej.

— On wie, że za nim gonimy. W przeciwnym razie nie zaczęłyby tak demonstracyjnie zastraszać wieśniaków, żeby ci z wypisanym wręcz na twarzach kłamstwem wskazali nam zły kierunek. No i jeszcze ta chata. Każdy dureń domyśli się, że to nieczysta sprawa, tu nawet telepatą nie trzeba być. Na to pewnie on i liczył. A do tego jeszcze — że ani jeden normalny człowiek i tak nie wpakuje się w poryte jarami uroczysko.

— I co też mnie podkusiło zadać się z nienormalnymi wampirami — westchnęła Orsana, w ślad za przyjaciółmi zawracając konia ku Zajęczemu Gajowi. — Dlaczego robili sobie taki kłopot? Czy naprawdę nie można było po prostu przejechać obok wsi, lasami?

— „Po prostu” nie wyszło. Pod jednym z nich padł koń i zabrali wierzchowego konia tutejszemu staroście, a kiedy ten spróbował protestować, spalili jego chatę. — Len spojrział z ukosa na siwą nitkę dymku, wypływającego jak gdyby z wierzchołka pagórka i, poczekawszy, niechętnie dodał: — Razem z nim i jego żoną.

Dziewczyna z chłodem wzruszyła ramionami. Wampir kontynuował:

— A ponieważ, czegoś takiego i tak się nie da ukryć, łajdacy postanowili wyciągnąć z zaistniałej sytuacji dodatkową korzyść — skierować nas na fałszywy ślad... albo urządzić zasadzkę. Sensowne drogi są tu dwie — prosta i okrężna. Prawdopodobnie, obu im się zamknąć nie udało i chcieli być pewni, że wybierzemy pierwszą.

— Ale dlaczego nie wybraliśmy drugiej? — żałośnie zainteresowała się Orsana, gdy Wianek potknął się na pierwszej jamie, o mało nie zostawiając zgrzytajęcej zębami dziewczyny bez języka.

— Ponieważ jest ona trzy razy dłuższa, chociaż i bezpieczniejsza, a nam się śpieszy. Zresztą, — Władca Dogewy obrzucił winessjanę, a po niej i pozostałych badawczym spojrzeniem, — czy ja kogoś zmuszałem, aby ze mną jechał?

— Ale i przepędzić nie możesz! — zuchwale odparowała setniczka.

Rolar i Wal tylko się uśmiechnęli — niby, że nawet nie miej nadziei, kochaneczku, nigdzie od nas nie uciekniesz. Zaprzeczyć, jak i w poprzednich sto trzydziestu dwóch razach, nie było po co. Zawsze przestrzegający starego zwyczaju Len, złapał sam siebie w pułapkę i teraz pozostało mu tylko wyrażając

niezadowolenie ponaglać ogiera obcasami.

Zajęczy Gaj okazał się pochmurnym, świerkowym borem, opasanym polną drogą, która to nosiła dumną nazwę okrężnej. Pod prostym kątem odgałęziała się od niej prowadząca w gęstwinę ścieżka, nie można powiedzieć, żeby udeptana, ale zupełnie wyraźna. Widocznie, dość często zachodzili tutaj drwale i myśliwi, przyciągnęci wiele obiecującą nazwą.

Orsana nie lubiła takich lasów. Jakby niezbyt gęstych i nieprzebytych, ale mrocznych i nieprzyjaznych, z ciągłym wrażeniem złego spoglądania w plecy. W końcówce lata z ptasich głosów w wierzchołkach drzew zostało tylko rzadkie wronie krakanie, żywiołowością nie ustępujące nawet wilczemu wyciu.

Przyjaciele dyskretnie spojrzeli po sobie, gdy Wianek jakby „przypadkowo” przegrupował się z końca w środek łańcuszka.

Do pierwszego jaru wdarli się już się po upływie kwadransa. Zejść po łagodnym zboczu udało się dość łatwo, Len i Rolar nawet nie zsiadli z koni. Za szeroką, omszałą kotliną wznosiła się praktycznie pionowa ściana, z groźnie wysuniętymi pazurami rudych świerkowych korzeni. Ścieżka, nawet nie próbując się do niej przybliżyć, pewnie zawijała na prawo. Podróżnicy nie zamierzali się z nią sprzeczać.

— Żeby ona nas chociaż w bagno nie zaprowadziła — zaniepokoił się Rolar, zauważywszy na kępach drobnolistne nici tylko co zaczynającej różowić żurawiny.

— Po prostu nizina. Prawdziwych trzęsawisk tu nie ma. — Len, nie mogąc się powstrzymać, ryzykownie zwiesił się z siodła i wyrwał z puszystego mchu zdrowiusieńkiego, pękatego borowika. Droga prowadziła pod górkę, ale zbocze nie pięło się, a stopniowo wyrównywało i wkrótce Woltowi udało się na nie wskoczyć. Koń, podnosząc wysoko nogi, dumnie kroczył przy samej krawędzi, dopóki nie przyłączyła się do niego Kanianka, a za nią i pozostałe konie.

Ścieżka znowu prowadziła w gęstwinę, wracając na dawny kurs. Orsana zażarcie walczyła z kleszczem, który wykazał wzmożone zainteresowanie jej szyją. Rolarowi, który nawet się nie zająknął, że „na jego miejscu powinienem być ja...”, wyraziście zademonstrowała spadającego w odwecie krwiopijcę.

Kanianka zrównała się z Woltem i próbowała capnąć go za kłęb.

— Wiesz, co mnie najbardziej niepokoi? On nas stale wyprzedza. — Rolar pociągnął za lejce z prawej strony i kły kobyłki bez żadnego skutku kłapnęły o piędź od celu. Ogier prychnął złośliwie, ale nawet pyska ku impertynentce nie obrócił wiedząc, że sprawa się na tym zakończy. — I nie chodzi mi o odległość.

Len posepnie kiwnął głową. Jeszcze ani razu nie udało im się zapobiec uderzeniu — a zaledwie zredukować jego następstwa do minimum. Nawet teraz,

przedostając się jarami i upajając się własną przenikliwością, grali według narzuconych im reguł i na polu przeciwnika.

— Słusznie. Mam takie same odczucie, że oni nie tylko wiedzą o pościgu... ale i liczą na niego.

— Proponujesz zawrócić?

— Proponuję. Wam.

Arlisszczanin pokornie skłonił głowę i z wyszukaną kurtuazją spróbował się wywiedzieć:

— A nie poszlibyście... lasem, Władco?

— Już idę — uśmiechnął się Len, kierując Volta w przełom następnego jaru, po dnie którego powoli płynął szeroki, ciemny strumień. — Nie mam wyboru, Rolar. Sprzykrzyło mi się siedzieć i czekać na następny cios w plecy. Żeby to w swoje. Ale jej im nie oddam. Nawet jeśli dla mnie ona będzie stracona na zawsze.

Kopyta ześlizgnęły się po miękkim igliwiu i Wolt, przeorawszy z rozpędem szeroką bruzdę, po sam brzuch wpadł do strumienia. Len szybko podkurczył nogi, ale wtedy koń poślizgnął się już na mule i przysiadł na zadzie, zamoczywszy siodło po brzeg łęku. Towarzystwo z góry zachichotało i z niemniejszą złośliwą satysfakcją zarżało. Władca Dogewy, po bohatersku powstrzymawszy się (od pierwszego jaki przyszedł mu do głowy) komentarza w trollim języku, pogroził szydercom pięścią, a Wolt, gniewnie zarżawszy, naprężył się i z głośnym pluskiem wyskoczył z wody.

Dopóki nie odszukali bardziej pewnego i łagodnego zejścia i nie sprowadzili i wepchnęli koni na przeciwległą stronę, umęczeni tak, że natknąwszy się na polankę z miejscem po ognisku, postanowili zrobić postój. Zebrane po drodze grzyby oczyścili i zsykali do wspólnego kociołka, Len wylał wodę z butów i przysiadł się do ogniska, doglądać procesu gotowania i zarazem, żeby się osuszyć. Wal, który wedle żołnierskiego przyzwyczajenia starał się wykorzystać do odpoczynku każdą nadarżającą się minutę, rozciągnął się po drugiej stronie ogniska i natychmiast zaczął chrapać przez nos. Rolar udał się na zwiady, z trudem pozbywszy się przyczepiającej się do niego Kianki — koń koniecznie chciał dotrzymać towarzystwa uwielbianemu gospodarzowi, prychając i kąsając na próby obrócenia jej natrętnego pyska w stronę obozowiska.

Orsana podwiązawszy Wiankowi worek z owsem, spróbowała niepostrzeżenie wyjść w krzaczki, ale Len nie odwracając się, machnął ręką w przeciwnym kierunku.

— Lepiej będzie w tamte krzaki.



Dziewczyna oblała się rumieńcem po same uszy, ale tym niemniej, zapytała wyzywająco:

— A co, te już siebie zarezerwowałeś?

— Nie, po prostu w tych upiór siedzi — beztrąsko wyjaśnił wampir, próbując borowika, wyłowionego z gotującej się polewki. Grzyby już się ugotowały, a wsypana do kociołka kasza poprawiła potrawę.

— Szo-o? — Orsana rzuciła okiem na tak przytulnie wyglądającą leszczykę. Rozejrzawszy się, podniosła z ziemi ciężki kawałek konaru i cisnęła nim w gęstwinę gałęzi. Krzaki z niezadowoleniem zaburczały, w prześwicie przemknęło coś szarego i bezwłosego.

— Teraz w porządku — wsłuchawszy się, oświadczył Len. — Możesz iść, czmychną!

— Dziękuję, ale jakoś mi się odechciało — mruknęła dziewczyna, nieufnie spoglądając na kołyszące się na wietrze liście. — A wcześniej nie mogłeś uprzedzić?!

— Po co? On jeden, a nas wielu, a przy tym stwór zwykle nie naraża się na kontakt z wampirami. Nie chciałem niepokoić cię takim głupstwem.

— Istotnie, jaki drobiazg — załedwie upiór, któremu ślinka cieknie w oczekiwaniu na pierwszego, kogo przypili... przespacerować się! — zjadliwie odezwała się winessjanka. — A... on na pewno uciekł?

— Na pewno. Słowo honoru Władcy.

Najwyższa Wiedźma, usłyszawszy ten związek wyrazowy, w jednej chwili przyjęłaby myśliwską postawę, ale nie obeznana tak w kontaktach z Władcami Orsana, zawahawszy się, mimo wszystko zdecydowała się oddalić z polanki. Bardzo blisko i na krótko.

Len ucieszył się w duchu, że nie wygadał się jej o głodnej wywernie, już od dawna skradającej w ślad za podróżnikami, ale również w żaden sposób nie decydującej się na przekąszenie co nieco. W porównaniu z tym, co czekało ich na krótkiej drodze, to i tak naprawdę było błahostką.

Rolar wrócił z pokrzepiającymi wiadomościami — do skraju lasu zostało mniej niż ćwierć wiorsty i załedwie jeden jar i do tego niegłęboki. Do tego wędch doświadczonego najemnika obudził trolla w ciągu sekundy, jak tylko Len spróbował kaszy i uznał ją za gotową. Nie posiadając misek, podejrzane ciemno-brązowe jedzenie rozdzielili po kubkach i parząc usta, spałaszowali zanim zdążyło ostygnąć. Szybko zebrali się, zagasili ognisko i znowu ruszyli w drogę.

W porównaniu z dwoma poprzednimi, trzeci jar wydał się rowkiem. Bez sprzeciwów raczyła zejść do niego nawet uparta szkapa Wala, przy wejściu



zaledwie parę razy kopnąwszy lekko popychającego jej zad Rolara. Orsana osobiście wykryła wywernę, przy czym niewiadomo, kto przestraszył się bardziej; w każdym razie, stworzenie dało drapaka na wszystkich ośmiu nogach, szczerze żałując, że nie ma czym zatkać sobie uszu.

Z lasu wydostali się akurat w tym miejscu, gdzie od okrężnej drogi, jakby na zamówienie, odchodziła prowadząca na południowy wschód ścieżka. Żartobliwie pogratulowali sobie nawzajem sukcesu, wytrząsnęli z włosów igły i znowu skierowali konie lekko na ukos do niebieskawego brzegu na horyzoncie.

Przejechali nie więcej niż pół wiorsty, gdy Orsana przypadkowo obejrzała się i jęknęła:

— Patrzcie!

Nad pozostawionym z tyłu lasem unosił się wysoki słup ognia, czerwono-szkarłatnymi wzorami rozlewający się po lewej stronie obłoków. Zrozumieć, gdzie się zaczął — nad prostą czy też okrężny drogą — z takiej odległości było niemożliwe. Jak i wyobrazić, że stało się to przez nieostrożnego podróżnika. I kim on mógł być.

Przyjaciele, nie umawiając się, jednocześnie podcięli konie.

\* \* \*

Wszystko okazało się nie aż takie złe. Kobyłka wprost w oczach odżyła pod moimi palcami, delikatnie obmacującymi ją od nóg po głowę i przy okazji leczącymi drobne skaleczenia i zadrapania. Głębokich ran miała w sumie trzy albo cztery — na kłębie, za który widocznie chwycili zębami. Rany były trochę zaognione, ale poważniejszych skutków ukąszenia nie znalazłam. Prawda, oczy u Smółki były jakieś dzikie, z nienaturalnie rozszerzonymi źrenicami, ale sądząc po przejawionym przez kobyłkę zwiększonym zainteresowaniu moim śniadaniem, w rodzaju wymiętej pajdy chleba, nagły zgon jej nie groził. Świt zastał nas niedaleko jakiejś wioseczki. Tęsknie spojrzałam z ukosa na dymiące kominy, obiecujące ciepło i gorące śniadanie, ale na wjechanie w osiedle się nie zdecydowałam. A nuż już tam na mnie czekają z otwartymi ramionami. albo jeszcze gorzej, skrzydłami? I dlatego jakoś zsunęłam się z kobyłki obok najodleglejszego stogu na zżętym polu za opłotkami i zakopałam się głęboko w słomie, czy to obudziwszy się, czy to ocknąwszy się gdzieś koło południa.

Smółka wdzięcznie wbiła mi pysk w ucho, ledwo nie zwaliwszy z nóg. A raczej, z jednej nogi — na złamanej starałam się nie opierać, trzymając ją nieco wysuniętą na bok. Magia z powodzeniem powstrzymywała ból i zapalenie, obrzęk zmniejszył się o połowę, tak, że czułam się nieszczególnie, ale znośnie.

W każdym razie litować się nad sobą nie było kiedy — pora przystąpić do rzeczy. Przez ziółka Kelly i tak straciłam masę czasu.

Puściwszy koński kłęb, usiadłam wprost na ziemi, obok stogu. Przyciągnęłam do siebie torbę i oczyściwszy skrawek ziemi, zaczęłam w skupieniu kreślić na nim ostrzem krótkiego, rytualnego noża.

Smółka nachyliła głowę, sceptycznie obwąchała moje dzieło i kichnęła. Z urazą odepchnęłam ją łokciem. Też mi znalazł się krytyk! Czteroramienna gwiazda tak naprawdę wyszła krzywo, ale kierunki na niej określiłam i podpisałam prawidłowo: północ — wschód — południe — zachód.

Zacisnęłam palce na rękojeści noża i uniosłam go nad centrum rysunku.

Tak, na kogo będziemy “łowić”? Lena można od razu wykluczyć, jego nawet zwiadowczy impuls nie wykryje. Z Rolarem także wątpliwe czy coś wyjdzie, Wala nie znam zbyt dobrze, a Orsana... jeżeli się nie mylę, ona do tej pory nosi mój prezent — wisiołek-kropelkę z kociego oka? Mam dla was radę: jeżeli sami nie jesteście magami, nigdy nie bierzcie pochodzących od naszego bractwa rzeczy (albo chociażby parę godzin będących w ich w rękach)! A jeżeli już wzięliście, śpieszcie się odbiec nie mniej niż na trzydzieści wiorst. Przyjaciele chyba nie zdążyli tyle przejechać — oni przecież także muszą odpoczywać.

Oczywiście, wisiołek podarowałam Orsanie na urodziny, nie mając nic takiego na myśli, ale teraz jak raz się nada. Zamknąwszy oczy, postarałam się jak najbardziej wyraźnie wyobrazić sobie półprzejrzysty, dwukolorowy kamyczek i tak naprawdę przypominający żółto-zielone oko bezczelnego, wędrownego kota. Oprawa — ze srebra, łańcuszek — wymyślnego gnomiego splotu, tzw. „żmijka”. Stworzywszy w myśli wyraźny obraz ozdoby, przełączyłam się na jego właścicielkę. Co jak co, ale wyobrazenie sobie żywego obrazu dzielnej winnessjanki nie nastęrczało mi żadnego problemu — nawet wydało się, że ona stoi obok.

Wyrzuciwszy z głowy wszystkie obce myśli i uczucia, śpiewnie wyszeptalam zakłęcie poszukiwania. Ostrze zadrzało i pociągnąwszy za sobą ulegle rozluźnioną rękę, dziobnęło w dół.

W zamyśleniu wyrwałam nóż. Wetknęłam w pozostawioną przez ostrze szczelinę słomkę z wymłóconego kłosa. Posiedziałam, spoglądając na niebo. Miejmy nadzieję, że oni już w drodze, a nie śpią koło ogniska. Dzisiejszy dzień niezbyt nadawał się na przejażdżki w celach rozrywkowych, ale na deszcz jakby na razie się nie zanosilo. Może trochę później i słoneczko wyjrzy. No i lato w tym roku też bezsensowne: to praży, to leje! Żeby chociaż jesień nie zawiodła. Tak żywo wyobraziłam sobie na wskroś przemokniętych gości, pobity deszczem

tort i pierwszą noc poślubną przy nieprzerwanym akompaniamencie kichania, że nie od razu przypomniałam sobie — mi to już nie grozi. No i dobrze, narzeczony z wozu — narzeczonej lżej! Ale z posterunku Najwyższej Wiedźmy nikt mnie nie zwalniał a chronienie Władcy Dogewy — to obowiązek dużo ważniejszy od małżeńskiego. Czy mogę przekazać go przyjaciółom, niechby nawet najwierniejszym i najpewniejszym?! I za nic nie rozumiem, jak oni zamierzają łapać czarownika bez pomocy wiedźmy! Jeśli on mnie mało co po ścianie nie rozmazał, to ich całkiem na proszek zetrze!

Właściwie, to co ja o nim wiem? Mag-samouk, specjalizujący się w powietrzu. Doskonale zna się na trucizna i amuletach, dysponuje ogromną mocą, ale w obronie i bojowych zaklęciach, wymagających błyskawicznej reakcji, znacznie mi ustępuje. Całkiem możliwe, że kilka lat spędził w Szkole Czarodziejów, a potem go za coś stamtąd wypędzili. O dziesięć lat jest ode mnie starszy, tak, że chyba nie natknęliśmy się na siebie w korytarzach. Wtedy dyrektorem Szkoły był Pitrim, ale o sprawach dotyczących wydalenia adeptów zawsze rozstrzygano na ogólnej radzie, Profesor na pewno mógłby go sobie przypomnieć. Niestety, telepoczta nie pracuje, a czekać na zwiastuna wiadomości nie mam czasu, chociaż magiczne stworzenie lata dwa razy szybciej od gołębia i w odróżnieniu od niego nie jest przywiązane do gołębnika — wystarczy, że zna przykładowe miejsce pobytu adresata. Zresztą, to nie takie już i ważne. Profesor może rozpoznać go i potem — po, jak wyraził się Wal, „charakterystycznej części”. Najważniejsze — to dogonić przyjaciół, zanim oni dogonią tego łajdaka.

Znowu chwyciłam za nóż. Doskonale! Dwa werszki od słomki, to bardziej niż wiarygodny wynik. Oni posuwają się naprzód, na południowy wschód, przy czym dość szybko, wyprzedzając mnie ze dwadzieścia wiorst. Chociaż z kierunkiem ucieczki poszczęściło się nam ze Smółką — nie musimy wracać z powrotem. Wystarczy nieco odbić na wschód.

Rozłożyłam przy rysunku mapę, tak aby strzałka w jej górnym lewym rogu pokryła się z północą na mojej gwieździe.

Tak i co my mamy na południowym wschodzie? Dużych miast nie ma, po praktycznie bezleśnym stepie porozrzucane są z rzadka osiedla. Nieco bardziej na południe — Witjagskij trakt, ale zdaje się, że przyjaciele go zignorowali. Jechać po udeptanej drodze, oczywiście i szybciej i bezpieczniej, ale o tej porze roku trakt zatłoczony jest przez handlowe podwody, tam za bardzo nie pogalopujesz — jeżeli, oczywiście, nie chcesz przyciągnąć uwagi pokrytych pyłem kupców, zajadle wymyślających w ślad za śpieszącymi się ludźmi. A przyciągać uwagi wampira, naturalnie, nie chcą... Ale dokąd oni też tak się

śpieszą?

W myśli przedłużyłam linię jeszcze dalej i ku mojemu niemałemu zadowoleniu, oparła się ona na schematycznie narysowanych dwóch połączonych łukiem wieżyczkach, na wzór bramy wbudowanej w zwarte pasmo górskich szczytów, odgradzających Belorię od morza.

Znaczy, Kort-ogł-Elgar, słynny gnomi tunel, jedyne wyjście z portu i stoczni na brzegu Srenno-wodnego Morza. Ot i was złapałam, gołąbeczki! Mam wątpliwości, czy tropicie czarownika (który, sądząc po tak imponującej, dziarskiej demonstracji, tfu, magicznej siły, zdolny razem z końmi i towarzyszami podróży teleportować się na dziesięć i jeszcze drugie tyle wiorst w dowolną stronę) po śladach, które jeszcze nie zdążyły ostygnąć; szybciej już, znaleźliście jakiś sposób aby dowiedzieć się, gdzie ma kryjówkę i prosto tam pędzicie. A nadmorskie miasteczko Włastok — to raj dla wszelakiego rodzaju rozbójników i łotrzyków. Stałych mieszkańców jest tam niewielu, ulice zapełniają przyjezdni, dokładniej, przyplływający wyspiarscy kupcy, marynarze z handlowych, wojskowych, przemytniczych i pirackich (spróbuj dowieść!) okrętów i na odwrót — tylko szykujący się do wypłynięcia belorscy kupcy, czy też chętni zaciągnąć się na statek poszukiwacze przygód, na pożegnanie wodzący duszę po licznych karczmach. Zawieruszyć się wśród nich — to jak raz splunąć!

Zdecydowanie, jadę ku Elgarskiemu tunelowi. Droga zajmie nie mniej niż pięć dni, ale i oni chyba szybciej nie zdążą. Z teleportacją w nieznanym miejscu lepiej nie ryzykować, a i nie wiedzie mi się coś z nią — to nie dołot, to przelot. Nic nie szkodzi, o własnych siłach dotrzemy. Kilka wzmacniających zaklęć — i można jechać bez przerwy, potem znajdziemy czas, żeby odespać.

Tak więc, w czym by im przeszkadzał mag w drużynie?! I byłaby jeszcze drużyna...

Podczas pracy jako Najwyższa Wiedźma, wystarczająco zorientowałam się z wampirzej etykiety, żeby wiedzieć: poza granicami doliny Władcy powinni towarzyszyć minimum dwaj Strażnicy z elitarnej sotni.

Dlaczego on udał się w drogę tylko z Kellą (po Starszych Rodu — najbardziej zacieklej strażniczki owej etykiety)? Niezbyt zadowolonej z obrotu sprawy, ale w ogóle nieprotestującej? I tak lekko puściła go całkiem samego, tylko leszy wie gdzie? Troll, człowiek i zwyczajny wampir się nie liczą, oni nie obronią go przed niczym takim, z czym nie mógłby poradzić sobie i sam.

W takim razie, dlaczego zabrał ich z sobą? Dla towarzystwa, żeby w drodze nie było nudno? Znając Lena...

Gwałtownym ruchem ręki starłam rysunek.

Nie.

\* \* \*

Kort-ogl-Elgar powitał ich dymem, wiatrem, zgiełkiem i kotami.

Największa góra (dokładniej, jeden z setek, przysadzistych elearskich szczytów, łańcuszkiem rozchodzących się na zachód i wschód) przypominała gigantyczne mrowisko, które powoli żarzy się od wewnątrz i lada chwila wybuchnie w całości. Z licznych otworów, służących jako kominy wentylacyjne dla gnomich kuźni i przetapialni, wydobywały się czarne strużki dymków, układające się w kółeczko obłoku dookoła wierzchołka góry. Gdzieniedzie, wpychało się pomiędzy niskie chmury i dla towarzystwa wypuszczało się w drogę razem z nimi, ale natychmiast na jego miejscu zaczynało rosnać nowe.

Tutejsza grubość Elgara nie przekraczała sześciuset sążni, podczas gdy niektóre płaskowyzę rozciągały się wszere na dziesiątki wiorst. Najbardziej odpowiednie miejsce dla przechodzącego na wylot tunelu — ogromnego półokrągłego łuku o dwudziestu łokciach wysokości i koło czterdziestu — szerokości. Zza Kort-ogl-Elgar to całą masę, to porywami, smagał dość silny wiatr, zmuszając tutejszych mieszkańców do przytrzymywania kapelusza zupełnie odruchowym gestem, a nieprzezornych przyjezdnych — do gonienia z wymysłami za owymi po sto sążni.

W oficjalnych dokumentach Kort-ogl-Elgar nazywał się „Gestem dobrej woli, przyjaźni i wzajemnego zrozumienia między naszymi bratnimi narodami”. Ale niektórzy złośliwie mielili jęzorami, jakoby najbardziej braterskim z narodów - gnomom, ten tunel – dar przyjaźni – na ghyr był potrzebny, po prostu obsunęło się u nich parę sztolni, zgodnych z kierunkiem złotej żyły, z chciwości wydrążonych zbyt blisko siebie, a nie było żadnej możliwości kontynuowania ich dalszej eksploatacji bez rozebrania zawału do ostatniego kamyczka, A ponieważ, umacnianie chwiejącego się spiętrzenia kamiennych brył — to czysta strata belek i czasu, szybsze i pewniejsze okazało się przedłużenie sztolni w obydwie strony, jednocześnie i sprawa z odpadami się rozstrzygnęła: po tej stronie gór usunięty przez gnomy kamień rozebrano na brukowanie dróg i wznoszenie zamków, po tamtej — wykorzystano do budowy miasta, mola i falochronów, a także jako balast dla statków.

Tak czy owak, korzyść z tej „przykrej niedogodności” gnomy odniosły bardzo szybko. Przez setki lat, w rzeczy samej, doskonale obchodziły się bez tunelu, w razie potrzeby przecinając górę po swoich krętych korytarzach, z dobrym tysiącem wyjść po obu stronach. Miały też u siebie i nieduży port, liczący pięć i drugie tyle okrętów. Więcej nie było potrzebne: gnomy nie pały

szczególną miłością do morskich przejażdżek i odważały się na nie tylko w celach handlowych, a wyspiarzom mogły zaproponować najwyżej szlachetne kamienie i broń, które dużo miejsca nie zajmowały.

I tu pojawili się ludzie: zubożali mieszkańcy wsi, którzy postanowili zamienić się w rybaków i kupców. Najbardziej tymi rybakami byli zainteresowani mieszkańcy wysp, którzy zaczęli często przybywać do portu, na swoich załadowanych tropikalnymi owocami okrętach. Proste dojsście do Belorii doskonale rozwiązywało problem dostawy delikatnych i szybko psujących się produktów.....

Przez parę miesięcy gnomy w zamyśleniu drapały się po głowach, patrząc na ciągle narastający potok piechurów w obie strony, a potem, nie inaczej jak w celu jeszcze mocniejszego zaciśnięcia międzyrasowej współpracy, zagroziły dziurę wzajemnego porozumienia drągiem na rohatynach<sup>4</sup> i zaczęły przeprowadzać z przyjezdnymi serdeczne rozmowy, w celu odwzajemnionego dobrowolnego gestu w postaci pięciu-trzech miedziaków. Z czasem drąg zmienił się w kutą bramę o wysokości trzech sążni, o złowieszczym skrzypieniu mechanizmu, zamykającego się na noc i otwierającego się z pierwszym promieniem słońca. Naturalnie, to unowocześnienie nie mogło nie odbić się na cenie świadczonych przez gnomy usług i bratni naród z kretesem się rozzuchwalił, żądając po jednej kładni za pieszego, dwóch — za konnego i od trzech do dziesięciu za przewóz wozu. Zresztą i tak wychodziło taniej, niż ciągnięcie towarów dookoła gór albo przełęczami, do tego też o wiele lżej i szybciej, tak że podróżnicy chociaż i zrzędzili, to płacili.

A kiedy już kolejny belorski król zapragnął sprawić sobie morski port i flotę (choć wybrzeże oficjalnie było pod jego panowaniem, to tylko spróbuj tam dotrzeć!), gnomy do reszty utwierdziły się w przekonaniu, że idea przebicia tunelu była zesłana im z góry, gdyż teraz korzystało z niego do tysiąca przedstawicieli wszystkich ras codziennie, starannie dowodząc górskiemu ludkowi swojej przyjaźni.

Najbardziej chodliwym towarem w tutejszych okolicach były, rozumie się, owoce morza — od delikatesowych ostryg i korzennych wodorostów do praktycznie lichej kilki<sup>5</sup>, którą latem karmiono świnie i kaczki, a zimą, po lekkim mroziku, dowożono aż do Starminu i sprzedawano na wagę, żądając dziesięć razy wyższej ceny. Zresztą, handel wrzał tu o każdej porze roku. A

---

<sup>4</sup> <http://pl.wikipedia.org/wiki/Rohatyna> <http://portalwiedzy.onet.pl/24498,...,rohatyna,haslo.html>

<sup>5</sup> Kilki - to małe, solone i marynowane rybki, niegdyś bardzo u nas popularne (bywały i po wojnie z importu z ZSRR) to sielawy. W rzeczywistości kilki to małeńkie morskie rybki (śledziki i szprotki) z północnych mórz Europy (także Bałtyku), które konserwowano w soli i przyprawach, podobnie jak na południu Europy sardele (anchois). Z produkcji kilek słynęła Łotwa.



ponieważ było prościej i taniej zapłacić gnomom za przewóz kupieckiego wozu, niż za wejście i wyjście setkom nabywców, bezpośrednio koło tunelu szumiał i roztaczał aromat bazar. Tu, oprócz ludzi, tak samo beztrosko obok siebie czuły się elfy, orki, trolle, leszaki, gobliny, driady i nawet — okropność jakaś! — wampiry, którzy bezczelnie rozjeżdżali się wzdłuż rzędów na k'jardach, demonstracyjnie machając skrzydłami i w uśmiechu pokazujący kły w całej okazałości. Zresztą, kupcy nie byłiby kupcami, jeśliby nie potrafiliby dogadać się z kim tylko chcieli. I chociaż pod ładą, na wszelki wypadek leżała główka lub dwie czosnku, nie wpływało to na ożywienie i rezultat targów.

Kotów zaś w okolicy było takie mnóstwo, że pochopnie próbująca wyrzeć z nory mysz, powinna była paść na sam widok chmary o różnej maści, z pomrukiwaniem rojącej się wokół stert śmieci, w jednej czwartej składających się z rybnych odpadków. Przerażliwe zawodzenia kotów zastępowały dobrze znane dla wielkemiejskich bazarów krakanie i ćwierkanie i tak w ogóle Orsana na razie nie zauważyła tu ani jednego ptaka, oprócz krążącego na niedosiętej wysokości orła i smoka, rozprostowującego skrzydła nad górskim grzbietem

Len narzucił kaptur na głowę i rozmyślnie się zgarbił. Wampiry, chociaż i były tu zwykłą sprawą — niedaleko jak raz rozmawiała dwójka: kupców, dogewski i arliski, żywo gestykułując rękami i skrzydłami — ale Władca i do tego przecież ze złotą obręczą, ściągałby na siebie zupełnie niepożądaną uwagę. Obok bramy schodziło się pięć dużych dróg i niezliczona ilość ścieżek, po których nawet teraz, chłodną wieczorową porą, z zalewającymi podgórze cieniami, trwał w dalszym ciągu ożywiony ruch — podróżni śpieszyli dostać się do portu albo Belori przed nastaniem ciemności, żeby potem nie wypadło im czekać do świtu.

Wal, nie śpiesząc się, kupił u krzykliwej przekupki wielką płótkę i teraz energicznie walił ją o przedni łęk siodła, zmuszając swoją szkapę do nerwowego podrygiwania i stulania uszu. Orsana, nie wytrzymawszy, ukradkiem gryzła wyciągnięty z torby suchar. Pokonując ostatni według ich obliczeń odcinek, przyjaciele zdecydowali się nie tracić czasu na szykowanie obiadu i niewiadome było, kiedy uda się zjeść kolację. I czy w ogóle im się to uda.

Rolar, bardziej dla pozoru potargowawszy się z flegmatycznym, ale nieugiętym strażnikiem przy wejściu do Kort-ogł-Elgar, uparcie odmawiającym uznać żadaną od podróżników sumę za „bezwstydnny rabunek i zdzierstwo”, razem z Lenem (w milczeniu stojącym obok) wrócił do czekających z boku i niecierpliwującym się przyjaciółom.

— No szo? — zainteresowała się Orsana, ledwo nie udławiwszy się w pośpiechu połkniętym kawałeczkiem.



— Przejechali przez bramę. Wszyscy. Wczoraj wieczorem. — Len obiema rękami przytrzymał coraz to zrywający się do odlotu kaptur. Jego towarzysze nie mogli powstrzymać się od wydania pełnego rozczarowania jęku. Wygląda na to, że ziściły się ich najgorsze obawy — czarownik skorzystał jednak z teleportu i wyprzedził ich o całą dobę.

— Myślisz, że oni jeszcze w Wołostoku? — Rolar spojrzął z ukosa na Kort-ogł-Elgar.

Kolejny kupiec, z taborem cieniutkich elfickich tkanin próbował, jeżeli nie wzbudzić w strażniku sumienia, to przynajmniej zawiadomić go o istnieniu tak potrzebnego i pożytecznego dla bliskich uczucia. Gnom przysłuchiwał się tym płomiennym przemówieniom wszystkich z taką samą filozoficzną obojętnością, doskonale zdając sobie sprawę, że jedynym ważnym powodem obniżenia ceny mogłaby być tylko zdrowa konkurencja, która nie występuje i o której nie może być nawet mowy.

— Mamy tylko jeden sposób żeby się tego dowiedzieć. — Len wziął Volta za uzdę. — Za kilka godzin tunel zamkną, a teleportować się przez Elgar się nie da, tak że jeżeli oni ukrywają się gdzieś w porcie, to będziemy mieć całą noc na poszukiwania.

Strażnik życzliwie spoglądał na zbliżających się podróżnych, jak dójka na wracające z pastwiska krowy.

— Dziesięć kładni, — leniwie zakomunikował, poparłszy słowa szerokim ziewnięciem.

— Jak to dziesięć?! — zmieszał się Rolar — Nas czworo, po dwie monety za każdego, wychodzi osiem!

— Należy się osiem — flegmatycznie potwierdził gnom. — A płacić trzeba dziesięć, dlatego, że po dwie za jeźdźców i oddzielnie za wóz koniny!

Wolt prychnął z oburzeniem, a Kaniańska nawet sięgnęła kasać, ale przywykły do wszystkiego strażnik celnie stuknął ją po chrapach koniuszkiem kopii, zmusiwszy do cofnięcia się. Rolar, którego doradczą duszą nie wytrzymała takiej ekonomicznej samowoli, uszczypliwie zainteresował się rozmiarem kary za uduszenie gнома, ale Len powstrzymał go władczy gestem dłoni i sam sięgnął do kieszeni. Na pozór dla strażnika, odliczywszy dziesięć kładni w srebrze i złocie, wampir niespodziewanie strząsnął część monet na drugą dłoń i wyciągnął do gнома obie ręce.

— To żebyście nie musieliście się fatygować podziałem monet, — uprzejmie wyjaśnił. — Jak i to w zwyczaju robicie: osiem do tego kufra z pieczęcią gnomiej kasy, a dwie do woreczka przy waszym pasie. Przy okazji, jak się nazywacie, dzielny strażniku? Na pewno postaram się szepnąć za wami

słówko przed waszym naczelnikiem, czcigodnym Agorom-e-Nokom i spodziewam się, że on według zasług wynagrodzi waszą ciężką pracę dla dobra Elgaru.

Wygląda na to, że oficjalna zapłata za „ciężką pracę” wynagradzana była nieco innym, nie tak efektywnym i produktywnym sposobem. Gnom, w mig utraciwszy całą ważność, rzucił się w tył od pieniędzy, jak dajn od kuszącego go mrakobiesa, omal że nie przeżegnał się znakiem krzyża.

— Ale co też, Panie szanowny, jaki ze mnie strażnik?! Mnie tu po prostu... e-e-e... kopię poproszono bym potrzymał, aż jej właściciel do kancelarii pobiegnie! Tak, że jedźcie sobie, dopóki nie wrócił i niech to zostanie tylko między nami!

— Dogadaliśmy się — uśmiechnął się Len, chowając pieniądze.

Co jak co, a mistrzami gnomy były doskonałymi. Niekiedy wyrzeźbione w ścianach figury wyglądały jak żywe i zdawało się, jak gdyby jechało się przez zastygły w miejscu czas. I wystarczy jednym nieostrożnym słowem spuścić go, jak cięciwę napiętej kuszy — a zerwie się do szybkiego lotu, kontynuując schwytną ręką mistrzowskich rzeźbiarzy ruchy: koń zacznie harcować na tylnych nogach, z chrapaniem gryząc wędzidło, zabrzmi smętne wycie wilczycy z tęsknymi ludzkim oczami, a puszczonego przez maga pulsar wzniesie się purpurową łuną nad zębami fortecnych murów. Len ledwo nie zwałił się z konia, próbując trochę lepiej obejrzeć wyłaniającą się z masy granitu kobiecą sylwetkę z wzniesionymi rękami i długimi rozwiewającymi się włosami, wydającymi się mu dziwnie znajomymi. Ale wracać i sprawdzać nie stanął. To już wydawało się aż za bardzo nieprawdopodobnym.

Większość płaskorzeźb była poświęcona Konfrontacji, największej bitwie ubiegłego stulecia. O dziwo, nie międzypaństwowej i nawet nie międzyrasowej, w drodze wyjątku — istotnie między dobrem a złem, jak lubią śpiewać minstrele. Bądź co bądź, nie inaczej jak dla potwierdzenia odwrotnej reguły, dobro zwyciężyło — za cenę ogromnych strat i nie mniejszego bohaterstwa. Z gnomiej strony w takiej liczbie, która pozwoliła im ostatecznie upewnić się w swojej wielkości (zresztą, oni i wcześniej nieszczególnie w to wątpili).

Uspokojone konie ostrożnie stąpały po kamiennej drodze, oświetlonej złudnie niebieskawym migotaniem specjalnych kopalnianych grzybów rozwieszonych między płaskorzeźbami w garnuszkach na cienkich łańcuszkach. Sądząc po wyraźnych nadgryzieniach na brzegach kapeluszy, one przypominały nie tylko Orsanie, najeżony stosik blinów<sup>6</sup>. Sama dziewczyna rozważnie powstrzymała się od degustacji — nieszczęsne plamy i bez tego zdołały

---

<sup>6</sup> Bliny - (zazwyczaj w liczbie mnogiej - bliny) regionalne: placek z ciasta drożdżowego, smażony na tłuszczu;

delikatny, trupi odcień skóry, zmuszający jadące w przeciwnym kierunku wozy do ustępowania jeźdźcom z pospiechem z drogi, chociaż zdawało by się, że powinno być na odwrót. A jeśli plamy jeszcze i zaświecą się... Wineczianka, wzdrygnąwszy się, zmusiła się do oderwania spojrzenia od bardzo apetycznego grzybka.

W miarę jak biała plamka z przodu rosła, pomału zaczynając rozdzielać się na błękitne i turkusowe, grzyby blakły, dopóki nie zgasły zupełnie. Jeszcze kilka sążni — i podróżnicy łąpczywie wciągnęli do płuc świeże, słonawe powietrze z posmakiem wodorostów. Jak gdyby wydostali się z grobowca.

Błękitne okazało się niebem, a turkusowe — morzem, między którymi granica zanikała w zaciągającej horyzont mgiełce, z białymi piórkami żagli. Od zniżającego się daleko z prawej strony zachodzącego słońca, rozlewała się plama, na tle której port wydał się ciemnym, a stojące przy cumowisku okręty — ostro zarysowanymi cieniami. Z lewej strony rozciągała się stocznia, przypominająca ogromną pajęczynę z pomostów z desek, rusztowań i lin, w którą zaplątało się nieco szkieletów okrętów. Wokół niej, jak dzielne pajęczki uwijali się robotnicy, słychać było stukanie młotków, skrzypienie dźwigów, zgrzytanie pił i wymyślania budowniczych.

Sam Wostok półkolem lepił się do gór, szukając okazji, aby wspiać się wyżej, żeby uchronić się od zachłannych sztormowych bałwanów. Przy samym brzegu stała tylko bardzo wysoka, kamienna latarnia morska, nad którą z krzykiem krążyły mewy. Teraz morze zaledwie poruszało falami, nie próbując nawet zapędzać się dalej niż na ćwierć wygładzonej przez nie plaży. Piasek już zdążył podeschnąć i jak na całym morskim wybrzeżu, przybrał delikatny, srebrzysty odcień, bez najmniejszej żółtości.

— Tak więc, dokąd teraz? — Troll, nie raz bywający w Wostoku, uhonorował miasto tylko jednym rzutem oka i soczystym splunięciem. I sam zaraz zaproponował: — Można do zajazdu wpaść, tam ludek sprytny, pewnie ktoś coś i słyszał. A możemy po porcie połączyć, powinienem tam kilku znajomych znaleźć.

Oba warianty wywołały burzliwą dyskusję „za” i „przeciw”, zakończoną podjęciem decyzji o rozdzieleniu się. „Najbardziej głodni”, jak dociął Wal, to jest Rolar i Orsana, zebrawszy ze sobą wszystkie konie, udawali się na zwiad, a jednocześnie i po zakup prowiantu do karczmy, gdzie, jeżeli nie pojawią się żadne problemy, powinni byli aż do zmroku czekać na powrót przyjaciół z portu.

— A jeżeli nie wrócicie? — z niepokojem uściśliła dziewczyna.

— Znaczy, nie doczekacie się, — filozoficznie wzruszył ramionami Len i

coś szepnąwszy na ucho Woltowi, który spuścił głowę, przekazał cugle Rolarowi.

— Tylko nie waż się... bez nas, — znacząco przypomniał ten.

Władca Dogewy skrzywił się, ale zmilczał.

\* \* \*

Zrozumiałam, że jeżeli teraz się nie zatrzymamy, czegoś nie zjemy i nie prześpimy się, to po prostu runiemy ze zmęczenia.

Zrozumiałam to bardzo prosto — runęłyśmy. Wprawdzie kobyłka natychmiast ponownie zerwała się na nogi, z urazą smagnąwszy się ogonem po spoconych bokach, ale, spojrzawszy na siebie, jednomyślnie zdecydowałyśmy uznać podwiniętą pod jej kopyta gałąź za palec boży, niedwuznacznie wskazujący na położone w pobliżu osiedle.

Palec to jest gałąź okazała się nader koślawa. A na dodatek — ze złośliwie wybrzuszonym środkiem.

Gdybym nie była tak wykończona drogą i nieprzerwanie doskwierającym bólem w nodze, już nie poddającej się zamawianiu, w żadnym wypadku nie zaczęłabym dzwonić w dzwon przy masywnej, okutej żelazem bramie, od której na kilka sążni cuchnęło potężną, ochronną magią. Tak i w ogóle, to z daleka zauważyłabym, że na dwie dziesiątki domów za solidną, równusieńką jak zęby w grzebieniu palisadą, przypada wszystkiego pięć-sześć ogrodów, a w środku sterczy strażnicza wieża.

Ale było już za późno — mocno poruszony dzwon zabrzmiał nisko i zjadliwie, jak orkowy gong. Legionowy fort? A na co się może przydać w takiej głuszy? Do najbliższej granicy parę setek wiorst, a gnomy i tak nieprzyjacielskiej armii przez Kort-ogl-Elgar nie przepuszczą — „według ich cennika” ani jednemu agresorowi nie wystarczy pieniędzy.

Drzwi uchyliły się dokładnie na tyle, żeby ukazać mi postawne chłopisko w zakurzonej zbroi.

— Droga i żywioł? — przymilnie się zainteresował, bardziej dla porządku niż z potrzeby — opuszczając halabardę.

— Ostrze i płomień — odruchowo wyrecytowałam, demonstrując przypiętą do wewnętrznej strony kołnierza odznakę maga-praktyka.

Brama otworzyła się na całą szerokość, czyjaś usługna ręka bez pytania złapała kobyłkę za uzdę, prowadząc, ją w głąb. Strażnik i bez tego podejrzenie uprzejmie, zaczął się przypochlebiać:

— Proszę przejeżdżać mistrzyni, proszę przejeżdżać, od wczorajszego

wieczora na Panią czekamy! Pewnie z samego Starmina do nas zawitaliście?

— T-tak, — zająknąwszy się potwierdziłam, nie uściślając, że ostatnim razem byłam w stolicy zimą.

— Właśnie widzę, kobyłka cała w pianie... a ślicznotka to jaka, odpowiednia dla właścicielki! Tak więc i całkiem całkiem, teraz my ją wytrzymamy, wyborczego owsa nasypujemy... Proszę, przytrzymam nóżkę, Pani!

Całkiem już oszołomiona pozwoliłam mężczyźnie zsadzić się z kobyłki. Smółka była zbyt zmęczona, żeby kłapać na impertynenta kłami, a usłyszawszy o owsie i ślicznotce, bez sprzeciwu pobiegła truchtem za stajennym.

„Nie legionowy, lecz magiczny”, oceniłam. Po Konfrontacji Konwent porozstawiał podobne forty po całej Belorii, żeby uniknąć nowego wyłomu. Zwykle rozmieszczano w nich trzech-czterech magów-praktyków o różnych rangach, jednego lub dwóch teoretyków i koło tuzina legionistów.

Dobrze czy niedobrze, jeszcze nie zdecydowałam. Z jednej strony, u kolegów zawsze można liczyć na pomoc, bezpłatny stół i nocleg, co z uwagi na moją markotnie wyciągniętą sakiewkę było bardzo aktualne. Z drugiej — jawnie uznano mnie za jakąś ważną szychę. Niech i tak będzie, na miejscu się okaże!

„Miejsce” wyglądające z zewnątrz jak zwykła wiejska chałupa, wewnątrz okazało się dwupiętrowymi, kamiennymi, bogatymi domostwami. Chętnie potwierdziłam zginającemu się w ukłonie kamerdynerowi, że chcę wszystko — i kolację i łóżko i wannę z czystymi ręcznikami. Ostatecznie składki na Konwent płacę regularnie, tak że dłaczego by chociaż raz nie otrzymać czegoś w zamian? Niechby i przez pomyłkę.

Pokój i wannę w postaci trzydziesto-wiadrowego cebra z gorącą wodą zapewniono mi bezzwłocznie, a kolację obiecano nieco później, w towarzystwie komendanta fortu. Łaskawie zgodziłam się na tą łyżkę dziegiu w beczce miodu, odesłałam służącą i postępując z bólu i rozkoszy, polazłam do cebra. Po sam nos zanurzywszy się w pachnącą różami i jałowcem wodę, ostrożnie zgięłam i obejrzałam złamaną nogę. Wyglądała nieszczęśliwie. Nie odpadała, oczywiście, ale i zrastać się nie zamierzała, zdecydowanie protestując przeciwko takiemu bezlitosnemu obchodzeniu się z nią, jak całodobowy galop, z przerwami w najlepszym wypadku na godzinę lub dwie, a i to tylko żeby odświeżyć zaklęcia.

Zamknęłam oczy i z westchnieniem oparłam się o brzeg cebra. Unosząca się z nad wody para przyjemnie łaskotała twarz, cały budynek nie natarczywie, otulała czysta, naturalna magia — forty stawiano na jej źródłach, żeby w razie czego magowie nie musieli ograniczać się w zaklęciach. Tu jej nawet wchłaniać nie potrzeba, wystarczy się rozluźnić i pozwolić energii swobodnie płynąć

przez ciało, a już ona sama rozpozna, gdzie jest potrzebniejsza — w aurze czy też rezerwie...

Po paru godzinach mnie obudziło natarczywe stukanie do drzwi, przypominające o konającym z głodu komendancie. Woda zdążyła wystygnać, tak, że bez szczególnego żalu wygramoliłam się z cebra. Czułam się dość dobrze, inna sprawa — nie było z kim porównywać. Dla zombi nawet bardzo dobrze się trzymałam!

Sądząc po chełpliwie zawieszonym na szyi orderze, komendant, tak jak i ja, był Mistrzem czwartego stopnia bojowej magii. Ale przypominał raczej tępawego, wysługującego się wieśniakami bogacza posiadającego tysiące — krępego, łysiejącego (słuszniej, dołysiewającego) mężczyznę z okrągłą dobroduszną twarzą, w którego kącikach warg kryły się surowe zmarszczki. Ale ze sławnym gościem, cóż, był samą grzecznością. Zaproponował krzesło, obsypał komplementami i napełniwszy kielichy winem z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku usiadł naprzeciwko mnie, niecierpliwie wsadziwszy za kołnierz śnieżnobiałą serwetkę.

Nie mogąc się powstrzymać od grymasu bólu, wyprostowałam złamaną nogę. Komendant zinterpretował to po swojemu:

— A juźci, większą część drogi na koniu przegalopować — żadna przyjemność. Wybaczcie, że sprawiono Pani tą niewygodę z „pajęczynką”... ale zarządzenie Konwentu, sami pojmujecie...

Skinęłam głową udając, że rozumiem. Znaczy, „pajęczynka”. Cienkie jak brzytwa smużki magicznej próżni, w których przerywa się każda teleportacja. Oto dlaczego w forcie tak mało ludzi, pozostali widocznie podtrzymują niewidoczną „granicę”, albo patrolują ją w celu wykrycia nieprzytomnych ciał — opuścić teleport w całości i w nienaruszonym stanie jest samym w sobie trudnym zadaniem, a już jeżeli wyciągają cię stamtąd siłą... Ciekawe, na kogo też ją „spletli”?

— Szanowna koleżanko, — mojego przypuszczalnego imienia komendant tak i nie wymienił, a i sam nie spieszył się przedstawiać, naiwnie zakładając, że jestem dobrze we wszystkim zorientowana — proszę mi pozwolić dowiedzieć się, czemu zawdzięczam zaszczyt tak przyjemnej, ale, nie ukrywam, nieco tajemniczej wizycie? Zakomunikowano o niej tylko w najogólniejszych zarysach, z zastrzeżeniem, że Pani wytłumaczy wszystko po przybyciu.

— Po kolacji, w cztery oczy — zapewniłam znacząco, zamierzywszy się widelcem w faszerowanego kalmara. Ghyr oni by dla zwyczajnej wiedźmy tak dołożyli wszelkich starań, w najlepszym razie daliby kubek zsiadłego mleka i miskę kaszy z podrobami! Mściwie nałożyłam sobie na talerz jeszcze dobrą



połowę czerwonego kawioru z miniaturowego spodeczka.

— Nie śmiem nalegać. — Widocznie i sam komendant nie chciał psuć sobie apetytu służbowymi rozmowami. Na apetyt właściwie, nie narzekał, na wyścigi ze mną pałaszując wszystkie potrawy po kolei.

Ale mimo wszystko spokojnie zjeść nam nie dano. Prawdziwa strzała, drgając przydymionymi skrzydłami, przebiła kamienną ścianę jak wodę — ta tylko nieznacznie zakolysała się w miejscu wylotu zwiastuna. Zapieczętowany lakiem zwitek spadł wprost do talerza komendanta.

— Tak-tak-tak... co my tu mamy? — Mistrz, nie przestając rytmicznie poruszać szczękami, złamał doskonale znaną mi pieczęć ze smokiem i kijem. Nierówne połówki rozwiały się czerwonym dymkiem, powiadomiwszy znajdującego się daleko nadawcę, że jego list został dostarczony zgodnie z przeznaczeniem. — Tak więc rozumie się, kolejny rozkaz! Widocznie, jak raz na temat Pani przyjazdu. Che, che, to na pewno nie jest pisemna nagroda! I co też Konwent tym razem chce ode mnie?

Komendant nie spiesząc się wygładził zwitek, (który okazał się długi przynajmniej na łokieć) i jak krótkowidz mrużąc oczy, obrócił się bokiem do okna.

— No nie, niech Pani posłucha! — zachłysnąwszy się, po upływie kilku sekund z oburzeniem wykrzyknął. — „W otwarte starcie nie wdawać się, ale spróbować ich rozdzielić i schwytać osobno”. Genialnie! I jak oni to sobie wyobrażają? Machając rękami i krzycząc „a kysz!”, będę rozpędzać bandę składającą się z wampirów, magów i najemników?! A i jeszcze „bezzwłocznie powiadomić”...

Komendant pogрузił się w czytaniu, marszcząc brwi i coraz bardziej purpurowiejąc na łysinie. Siedziałam jak na szpilkach, ledwie powstrzymując się, żeby się nie zerwać, wyrwać mu zwitek i szybko przebiec po nim oczami.

— Hm... szczególne znaki... aha... Coś podobnego! Gruba ryba... po co mu to było tu potrzebne? Niejaka W. Red-na... nawet, odpowiednie imię dla wiedzy.... Oho! Jeszcze i Najwyższej Wiedźmy Dogewy... a więc jasne, że ośmielił się... ta-a-ak, do pełni szczęścia nam tylko konfliktu z Winessą brakowało... A wy, pani mistrzyni, nie zwracajcie na mnie uwagi, jedzcie, bardzo Panią proszę! — zreflektował się mistrz, spojrzawszy na mój i tak nie doniesiony do ust widelec. I kontynuował czytanie już dla siebie, bezdźwięcznie poruszając wargami.

Z ogromnym wysiłkiem zmusiłam się do połknięcia pozostałej na talerzu sałatki, zmiełam serwetkę i czarująco uśmiechając się, poprosiłam o pozwolenie oddalenia się na parę minut. Komendant tylko w roztargnieniu machnął ręką.



Jako doświadczona, zahartowana w wędrówkach i bojach ze stworzeniami wiedźma, doskonale wiedziałam, kiedy pora dać drapaka. I tym właściwie się zajęłam, przy czym bezzwłocznie i z przeogromnym entuzjazmem. Zamknawszy drzwi wyznaczonego mi pokoju, w pośpiechu narzuciłam kurtkę, na wierzch zarzuciłam pas, pochyliłam się po stojącą na podłodze torbą... i zamarłam, patrząc przez otwarte szeroko okno.

Przy bramie, zażarcie dyskutowała z markotniejącym w oczach strażnikiem, popisująca się jazdą na karym koniu kobieta w średnim wieku, z wspaniałymi kędziorami kasztanowo-rudego koloru. Raczej, we wspaniałej peruce, kopię której ja jeszcze na trzecim roku szcudrze posmarowałam szewskim klejem, przepuściwszy z tego powodu pasjonującą imprezę w postaci uroczystej kolacji z okazji zakończenia sesji. W sumie oboje (Eńka stał na szpicy) zostaliśmy jeszcze i bez śniadania i obiadu, a żeby nie wstawiennictwo Profesora — to i bez Szkoły. Za to otrzymaliśmy trzy naprawdę bezcenne lekcje. 1) z Mistrzem 1 - go stopnia lepiej nie zadzierać chociażby do uzyskania 2 – go stopnia; 2) dobrej jakości klej lepszy jest od każdej magii i 3) klej w sklepiu „Dwa leprechauny” bardzo dobrej jakości. Kobieta, zirytowana dumnymi sporami, po prostu zmiotła koniem odsuwającego się strażnika, przygalopowała do samego ganku i zmrużywszy oczy, bacznie spojrzała w górę. Chociaż i miałam wątpliwości, czy może mnie zobaczyć przez otaczającą budynek iluzję, szybko klapnęłam na czworaki, wtuliwszy głowę w ramiona. Od Katissy Łabskiej, wykładowczynie bojowej magii, nad wyraz wściekłej i podstępnej kobiety, można było oczekiwać wszystkiego. A już ona to doskonale wiedziała jak wygląda „niejaka W. Redna”!

Usłyszałam jak przyspieszyły po schodkach wysokie, cienkie obcasy, prowadzące takie przerażenie na adeptów, siedzących w egzaminacyjnej sali wykładowej. Trzasnęły drzwi. Jedyne w budynku. Jeśli nie wydobędę się z fortu zanim Katissa zamieni parę słów z komendantem, koniec ze mną — jej nic nie będzie kosztować, żeby tak zaczarować wyjście, że nawet nie zdołam go znaleźć. Dlatego więc trzeba wyjść Mistrzowi naprzeciw i jakoś ją wyminąć wzdłuż jedyne korytarza. O nie! Nawet nie zamierzam przepuścić jej koło pokoju i wyczekiwać, aż ona skryje się w jadalni — alarm podniesie się wcześniej, nim zdążę dobiec do schodów.

Coś mnie niepokoiło, naturalnie, wcale nie wanna i zjedzony kawior wzięte za darmo. Tak i chyba Katissa nie zacznie przemieniać mnie we wronę i oskubywać po jednym piórku, jak obiecywała, będąc pod wrażeniem w cudowny sposób przyrośniętych włosów. Ale pozwolić się „rozdzielić i złapać” także w żaden sposób nie mogłam. Nie wiem, po kiego byłam potrzebna

Konwentowi, ale teraz było mi do niego zupełnie nie po drodze!

Obcasy już ledwo słyszalne wystukiwały pierwszą porcję na zasłanych dywanem stopniach. Prześwit, korytarz, prześwit, korytarz i — komendant. Na miękkich czubkach butów (nie driad, ale także niczego sobie!) prześliznęłam się w dół po schodach, bezlitośnie szarpiąc chorą nogę. Zresztą, ona przejęta wagą chwili, przestała w ogóle odczuwać cokolwiek. Na drugi prześwit już nie zdążałam, korytarz pośrodku pierwszego piętra rozszerzał się do niedużego holu, z długim, bankietowym stołem. Koronkowy obrus zwisał do dwóch trzecich nóg stołu, na nim stało kilka lichtarzy i kosz z owocami.

Tak, a teraz — w bok, przytulić się do ściany, złączyć dłonie i skoncentrować się na formule maskowania...

Ale na widok tej koszarnej baby, wyłaniającej się zza zakrętu, wszystkie zaklęcia w jednej chwili wyleciały mi z głowy i ja, jak dziesięcioletnia adeptka, bezmyślnie dałam nurka pod stół i wstrzymałam oddech, czując, jak serce rozpaczliwie tłucze się w piersi, domagając się aby je wypuścić z tego okropnego miejsca.

No i wpadłam! A mówią, durniów na magów nie biorą! Jeśli ona także zdążyła mnie zauważyć?!

Katissa zwolniła krok. Zatrzymała się koło stołu, w zamyśleniu pobębniła po nim palcami. Obcasy znalazły się przy samej mojej twarzy. Okazały się być wyrzeźbione z czarnych kłów kościotrupojada. Zacisnęłam zęby na rękawie kurtki, żeby nie zacząć skomleć z przerażenia. Słowo honoru, lepiej by było, żeby błąkała się tam prawdziwa banszi,<sup>7</sup> a nie posiadaczka tego imienia uzasadnionej przystawki, czyniącej aluzje do smutnego braku własnej czupryny, szeptem i z ostrożnością wspominanego między adeptami! Uzmysłować sobie, że teraz to zaledwie tylko jedna z moich koleżanek po fachu, w żaden sposób nie potrafiłam.

Kobieta pochyliła się. Ściągnęła lewy pantofel, wytrząsnęła z niego kamyczek. Ponownie włożyła, zakołysała się od pięty po palce i chrząknawszy z zadowoleniem poszła dalej. Od opadającego napięcia pociemniało mi w oczach,

---

<sup>7</sup> Banszi – przypis Gromyko [Banszi (banshee) — stworzenie średnich rozmiarów, z rodziny upiorowatych, znana z charakterystycznego przeszywającego zawodzenia wieczorową porą. Według legendy, zawodzenie banszi, niosące się głównie z naturalnych wzniesień albo w razie nieposiadania takowych od fortecznych murów, zwiastowało czyjaś szybką śmierć, nic w tym dziwnego, ponieważ banszi mięsożerne i nader żarłoczne (patrz: Podręcznik po nie przyrodniczych naukach pod redakcją K. D. Perłowa z 5 – ego roku)]

Mój przypis Banszi to Banshee <http://pl.wikipedia.org/wiki/Banshee>

Na forum Wolhy Banshee występuje jako szyszymora

przyszło przeczekać kilka sekund, zanim wygramoliłam się spod stołu i pędem rzuciłam się do drzwi. Mistrzyni jak raz zdążyła zniknąć za zakrętem, obcasy, oddalając się, stukały po drugich schodach. Może i lepiej, że nie zaczęłam czarować. Magicznie zamaskować się przed (trzeba Łysej Banszi oddać sprawiedliwość) specjalistką takiego poziomu jest nadzwyczaj skomplikowane, ale ona mimo wszystko jest człowiekiem, a nie jakimś odmieńcem<sup>8</sup>, żeby zwęszyć mój zapach albo usłyszeć bicie serca.

Wyskoczyłam na ganek, zatrzasnęłam drzwi i niewiele myśląc zagwizdałam na dwóch palcach, płosząc drzemiące na dachu gołębie. Gdzieś za szopami rozległ się głośny trzask, i Smółka galopem podbiegła do mnie, jak gdyby nie zauważając ciągniętego za sobą stajennego.

— Dziękuję, — podziękowałam uprzejmie, przejmując od niego cugle.

Chłopak wymamrotał niewyraźnie coś obraźliwego, rozwarł zaciśnięte na cuglach dłonie i całym ciałem runął w pył. Przemieścić się z ganku na siodło było sekundową sprawą. Strażnik, spostrzegłszy nasz energiczny start, z chwalebą gorliwością odskoczył na bok, w przeciwnym razie otwierająca się na oścież brama przecisnęłaby go do palisady.

Zdążyłam odjechać dość daleko, gdy z tyłu rozległy się jakieś dźwięki, podejrzenie przypominające gniewne krzyki, jednak ani odgłosy użycia magii ani tupot pogoni za nimi nie nastąpiły. Ale znając Katisę, nie było warto się łudzić, jak i zatrzymywać się wcześniej niż w Kort-ogl-Elgar, już zarysowującym się na horyzoncie nieruchomym pierścieniem ciemnej chmurki.

„Darmowy kawior tylko w wiedźnim sprycie” — ponuro pomyślałam, wygodniej moszcząc się w siodle, które całkiem już mi obrzydło.

\* \* \*

— A-a-a-a! Wamp-i-iry!!!

Rolar już miał się cofnąć, wymacując schowany pod płaszczem gword, ale niespodziewanie zorientował się, że te krzyki odnoszą się wcale nie do niego. Tak w ogóle, tu co, wampirów nie widzieli?! Dwie z dwunastu dolin położone są na wyspach, skąd dość często przyplływają handlowe statki, a po gnomach i trollach przeważających w traktierniach<sup>9</sup> przy zajazdach, obecność wampirów nie powinna nikogo dziwić. Nie ma to jak we trzech osuszyć, (nie młodą dziewczinę, rozumie się), a butelkę najmocniejszego rumu z przemytu.

Nie widziano tu, jak się okazało, winessjanek ucharakteryzowanych na żywych nieboszczyków. Rolar, pośpiesznie zasłoniwszy sobą dziewczynę,

---

<sup>8</sup> Coś co potrafi się przemieniać np. wilkołak

<sup>9</sup> traktierna – podrzędna gospoda

zapewnił zrywających się z miejsc marynarzy, że to wszystko to tylko rzucone przez złego czarownika przekleństwo, w języku potocznym zwane koroną cnoty, ale jeżeli ktoś zaryzykuje i...

Rozgniewana „upiorzyca” tak soczyście wyrznęła wampira łokciem w bok, że dobrowolni uzdrowiciele postanowili nie śpieszyć się z pomocą w miarę możliwości.

Gdy traktiernia ponownie wypełniła się gwarem Rolar ściszone głośnie pogawędził z pulchną gospodynią zakładu, ale niczego ciekawego się nie dowiedział. Czarodziej ze współnikami tutaj nie zachodził — zapamiętałaby. A teraz imprezują tu załogi dwóch przybyłych za dnia statków, tak, że o portowe plotki wypytywać ich nie ma sensu.

Zawiedziony Rolar uiszczył należność i zebrawszy ze sobą tacę z zamówieniem, wrócił do zajętego przez Orsanę stołu. Telepatią, niestety, nie władał, ale jak i wszystkie wampiry (a już tym bardziej doradcy!), doskonale wyczuwał, kiedy ludzie kłamią.

— Jeśli nie zatrzymali się w zajeździe — w zamyśleniu powiedziała dziewczyna, zaspokoiwszy pierwszy głód — znaczy, albo mają w mieście przyjaciół, albo udali się prosto do portu. I stamtąd już nie wrócili.

— W mieście wcześniej czy później ich znajdziemy. — Rolar upił z kubka, skrzywił się i odstawił go dalej. Piwo, albo szcudrze rozcieńczono morską wodą, albo nie zwracając sobie głowy, zaczerpnięto prosto z morza. — Ale oni nie z tych, co pozwolą się zapędzić w kozi róg i obawiam się, że dawno temu ulotnili się z portu...

— Tylko dokąd? — Orsana markotnie podparła brodę pięścią, utkwivszy wzrok w drzwiach traktierni. Jak gdyby spodziewała się, że zaraz otworzą się na oścież i na progu z złośliwym: „A oto jestem!” — ukaże się nieuchwytny czarownik.

I drzwi naprawdę się otworzyły. Gospodyni traktierni dostrzegłszy klienta, przepędziła z twarzy dyżurny uśmiech i kontynuowała besztanie leniwej służącej. Zgrzybiały dziadek, nie obraziwszy się ani trochę rześko zastukał kosturem w kierunku najbliższego, hałaśliwego towarzystwa i wcisnąwszy się na brzeżek ławy, niespodziewanie głośnym i przenikliwym głosem zapiszczał:

— Ech, młodziez, młodziez i co wy tam możecie wiedzieć o prawdziwych wojazach? Jeden albo dwa razy popłynęliście z handlową karawaną na wyspę i myślicie — morskimi wilkami zostaliście? Otóż moje całe życie to może, które wzdłuż i wszerz przemieżyłem, a czego to ja nie widziałem! Może, mógłbym i wam opowiedzieć... ale cos w gardle zaschło...

Marynarze tylko się uśmiechnęli, nie zaszczycając dziadka uwagą, —

doskonale rozumiejąc, co on umyślił, — dla bezpłatnej popijawy.

— Wy so, myślicie, że ja jakis jarmarczny łgarz? — nie poddawał się ten. — Tak mnie w tym porcie każdy pies zna, a ja go i tym bardziej! Oto, powiem, w pozapeszłym roku...

— A szo, dziaduś, — rozbrzmiał na całą traktiernię dźwięczny, dziewczęcy głos, — czy dacie radę wyliczyć nam wszystkie statki, które wypłynęły z Elgarskiego portu... no przynajmniej w ciągu ostatniej doby? Stawiam butelkę, że i połowy sobie nie przypomnijcie!

Starucha zatkąło z oburzenia i zapomniawszy o kosturze, jak młodzieniaszek podreptał do stolika impertynentki, z jawnym zamiarem zawstydenia jej opisem każdego nitu wszystkich okrętów — od majestatycznych elfich galer do najgorszych orkowych łódeczek — bywających w porcie przez ostatnie dziesięć lat.

Towarzystwo z uśmiezkami spojrzało po sobie i przyzywająco zamachało do roznosicielki rumu.

\* \* \*

Ilka zagwizdał cicho przywołując przyjaciół, aby pozachwycali się jego zdobyczą. Niedbale rzucone wprost na piasek ubranie, sakwa, buty, a na to — jakaś laska z bursztynową rączką. Gołym okiem widać, że bardzo droga i zabytkowa.

— Widać, kapać się polazł, — wywnioskował rudy, tyczkowaty chłopak, najstarszy i główny w bandzie „złotych rączek”, jak ironicznie nazywali siebie portowi, bezdomni oberwańcy. A gdzie oni tylko tych rąk nie wsadzali! — Ilka, zobacz!

Pomocnik posłusznie pobiegł do skraju cumowiska. Na najbliższym statku z ożywieniem o czymś czy to rozmawiało, czy też awanturowało się dwóch trolli, ale w wodzie nikogo nie było.

— Cóż, topielcowi one do niczego, a gapie i nie wstyd dać nauczkę — roztropnie doszedł do wniosku rudy.

Już radośnie zaczęli rozchwytywać bepańskie drobiazgi, gdy z cienia między dokami wymknął się potężny pies. Szczupły, z długą mordą, z wiszącym, ale bynajmniej nie tchórzliwie opuszczonym ogonem. Nie wiadomo, jak to się działo, ale stąpił się silnie z cieniami, wyłaniając się z nich tylko w świetle. Jak gdyby zwichrzona bryzą sierść w mgnieniu oka zmieniła kolor z mgliście-szarego na śnieżnobiały.

Złodziejaski zastygły w dziwacznych pozach, nie decydując się ani na

danie drapaka, ani upuszczenia kradzionych rzeczy. Obroży na psie nie było, ale u dzieci z jakiegoś powodu nie powstały żadne wątpliwości, że do ich działalności pies odnosi się z wie-elką dezaprobatą.

Rudy spróbował zagwizdać, ale rozdygotane wargi nie usłuchały. Pies zatrzymał się sam. Na sześć łokci albo jednego skoku... kiedy uzna, że potrzeba. Wygodniej rozstawił łapy, nienaturalnie nisko spuścił głowę, zjeżywszy garbik na karku.

Ilka nie mógł wyjaśnić dlaczego, ale na cumowisku pies wyglądał zadziwiająco obco. Bardziej stosownie byłoby spotkać go w głuchym lesie... a lepiej nie spotykać nigdzie i nigdy.

— Wi-i-ilk! — pierwsza pisnęła Nastka, jedyna dziewczucha w bandzie.

A jeszcze mówią, że żadnego z bab pożytku! Ghyr by oni bez jej krzyku się ruszyli i porzuciwszy łup, dali drapaka!

Zwierzę, nie ruszając się z miejsca, bez przerwy patrzyło w ślad za nimi. Spokojne, szare spojrzenie ziębiło Ilce łopatki, dodając nogom niezwyklej ruchliwości.

Jak gdyby czytał w myślach.

\* \* \*

Len nie zamierzał wchodzić do środka. Przysiadł na balustradzie traktierni przerobionej z dwumasztowego stateczku, z przodu której bardzo naturalnie szemrał rynsztok i długo, w milczeniu patrzył na obejmujący niebo i morze zachód słońca. Potem, nie odwracając się, zapytał się jakby bezszelestnie podchodzącego Rolara:

— Dowiedziałeś się czegoś?

— Od wczorajszego dnia z portu wypłynęło siedem statków. Wszystkie w różne strony, tak że obawiam się... — rozłożył rąk arlissianin nie zdążył.

— „Czarny Lis”. Portowa chuliganeria widziała, jak oni już po północy wchodzili na jego pokład.

Pauza przeciągnęła się. Len ze zdziwieniem obejrzał się na przyjaciela i domyśliwszy się, niewesoło zażartował:

— Wyrzuc to z siebie. Gorzej, niż myślę, już nie będzie.

— Dzisiaj po obiedzie statek odplynął... — Rolar zaciął się i ze skruchą spuścił wzrok. —... w Lesk.

Władca drgnął ledwie dostrzegalnie. Chociaż innej odpowiedzi się nie spodziewał.

— Len, może...



— Mogę. Płyniemy, Rolar. — Jasnowłosa ze znużeniem potarł ręką czoło, poprawiając obręcz. — Takiego czegoś się nie wybacza.

— Czegoś takiego też. — Rolar znacząco spojrział na morze. — Ty też nadal nie masz Opiekuna.

Arlisskij doradca nie odwoził, a jak gdyby przypominał — taktownie, nienatrętnie. Tak, jak gdyby można było o tym zapomnieć...

— Wszystko jedno, tam Opiekun i tak by mi nie pomógł. Do mojego Kręgu nie zdążylibyśmy dotrzeć, a na Leski, jasna sprawa, nie ma co liczyć ani marzyć. — Len odruchowo dotknął piersi, namacawszy rear przez cienką tkanę koszuli. Najwyższa Dogewska Wiedźma nie raz znacząco napomykała — niby, że ma doświadczenie, tak dlaczego by nie...

Nie. Wolałby umrzeć, niż jeszcze na raz narazić ją na takie ryzyko.

— Myślisz o niej? — Rolar oparł się łokciami o balustradę obok Władcy, udając, że jest pochłonięty płynącymi rynsztokiem śmieciami. Właściwie, jedno jabłuszko było bardzo nawet niczego sobie, aż żal, może czymś zaczepić.

— Aż tak widać? — kącikiem warg uśmiechnął się jasnowłosa.

— Owszem, aż tak widać. I po tobie i po niej. Len, jakiego ghyra wy dotychczas się nie pobraliście?

— Ona nie chce. Boi się, wydumała sobie wszelakiego rodzaju okropności, a nie chcę jej zmuszać. Kella niepotrzebnie zaczęła tę historię z weselem... a już teraz... — Władca beznadziejnie machnął ręką.

— A ty?

Len, nie odpowiadając spoglądał w dal. Zachodzące słońce pomalowało mierzeję na złocisto-rudy kolor, od którego nie można było oderwać spojrzenia. Naprawdę tak samo iskrzyły, mieniły się pod promieniami zachodzącego słońca krótkie rozczochrane włosy, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył — osiemnastoletnią, zdesperowaną, wystraszoną dziewczynę, za uzdę prowadzącą do wody białego konia...

On także się bał. Ale i rozumiał, że jeżeli nie zrobią tego kroku razem, to dalej im przyjdzie się iść przez życie w samotności. Do końca życia, ponieważ nic podobnego im już nigdy się nie zdarzy, a na nic mniejszego się nie zgodzą...

— Trzeba iść do kierownika portu — stanowczo powiedział Władca Dogewy, odwracając się plecami do morza. — Tak będzie szybciej, niż obchodzić wszystkie okręty i wypytywać, gdzie i kiedy one popłyną. A nie możemy sobie pozwolić na stratę ani minuty.

\* \* \*

— Ejże, dokąd-d?! — z opóźnieniem zareagował strażnik, kiedy końskie kopyta, nawet nie zatrzymawszy się, spokojnie przestukotały koło posterunku. W jednej ręce przytrzymując nieco przyduży hełm, w drugiej — wystawiając do przodu kopię, gnom w te pędy puścił się w ślad za podstępny naruszcycielem przepisów porządkowych. Poprawnie, naruszcicielce — A tunelową opłatę kto będzie płacić?!

Rudowłosa amazonka bez sprzeciwu osadziła kobyłkę. Dała do tyłu i zaoponowała z lekkim zdziwieniem:

— Tak przecież jest napisane — dla wiedźm wejście bezpłatne!

— Gdzie? — zmieszał się gnom.

— Tak właśnie tam! — Dziewczyna machnęła ręką. Ze złożonych w szepolte<sup>10</sup> palców wystrzelił niebieskawy strumień światła i przy zetknięciu ze ścianą prysnął granitowymi okruszkami. Gnom aż usiadł z wrażenia, a kiedy ostrożnie uniósł nasunięty na oczy hełm, nad wejściem do tunelu widniał jeszcze trochę dymiący się napis, wykonany na wymyślną, elfią modłę — z zawijasami i silnym pochyleniem na prawo.

Czarna kobyłka niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, ale wiedźma nie puszczając napiętych cugli, spokojnie czekała na odpowiedź, niewinnie mrugając oczami, z których biła szczerą prawdą. „Prosto jakby się u wampirów nauczyła” — ze złością pomyślał strażnik.

— A, tak-tak, — wymamrotał, — kompletnie zapomniałem. Oczywiście, że bezpłatny! Przejeżdżajcie pani, wybaczcie za zwłokę!

Dziewczyna filozoficznie wzruszyła ramionami — niby że, żadnych pretensji, lepiej późno zareagować niż nie zareagować wcale — i trąciła kobyłkę obcasami.

Odczekawszy póki nie zniknęły w półmroku tunelu, gnom ściągnął hełm i otarł dłonią spocone czoło. Nie, dzisiejszy dyżur zdecydowanie się nie wie...

\* \* \*

Naczelnik portu przebywał na czwartym piętrze wieży obserwacyjnej — powyżej niej była tylko latarnia morska. Z wychodzącego na morze okna — na pół ściany, od podłogi aż do samego sufitu, — rozpościerał się doskonały widok na cały port, stocznię i nawet na część miasta z karczmą. Obok stał teleskop, z jakiegoś powodu skierowany nie w majestatyczną dal morza czy też ku gwiazdom, w których zapisany jest los człowieka, a na skromny budynek z czerwoną latarnią przy wejściu. Wal nie namyślając się spojrzął przez teleskop i

---

<sup>10</sup> szpolta – złożenie trzech palców razem: kciuka, wskazującego i środkowego

obrzydliwie się uśmiechnął, zmusiwszy naczelnika portu do lekkiego zmieszania. Ale tylko do lekkiego. Gnomy w ogóle bardzo trudno zawstydzić, tak że oparte na stole nogi ani myślały przenieść się na dół, a ich właściciel z dezaprobatą spojrzął na nieproszonych gości sponad rozwiniętego zwitka.

— No i wam tego samego — burknął w odpowiedzi na uprzejme powitanie. — Czego chcecie?

— Dostać się do Lesku, i to jak najszybciej. — Len niedbale obrócił w palcach złotą monetę, którą gnom zaszczycił bardzo dużą uwagą. — Czy dzisiaj tam odpływa jakiś statek?

— Nie-a. — Nogi Naczelnika portu w końcu trafiły ze stołu na podłogę. I wielce znacząco patrząc na wampira, dodał: — Ale jest statek, który tam NIE płynie. Oto ten, „Gołąbek”. Właściciel na pokładzie, za dnia widziałem, jak go tam zanoszono, uprzednio wyrzuciwszy z traktierni. Możecie z nim się dogadać i jutro raniem was nigdzie nie powiezie...

Wal i Orsana ze zdumieniem spojrzeli na siebie, ale Len spokojnie skinął głową i rzuciwszy na stół monetę skierował się do wyjścia. Rolar, także nie okazawszy zdumienia, podążył za nim.

— Leskich statków w porcie teraz nie ma — wyjaśnił Len już w drodze do cumowiska. — Są rozładowywane, załadowywane i natychmiast odpływają. Ale jest tutaj bardzo dużo przemytników, którzy opuszczają port pod pozorem morskiej przejażdżki w celach rozrywkowych, nie wskazując w urzędzie celnym prawdziwego celu podróży, żeby nie płacić cła eksportowego. Ostatecznie nikt przecież nie zabrania pływać po morzu, zapchawszy ładownie wiązkami futer albo workami ziemniaków. Cóż z tego — bali się, że zejda z kursu i pomrą z głodu i chłodu, a kiedy zaczął się huragan, wyrzucili całe dobro za burtę.

— Oczywiście, a wyspiarski urząd celny?

— Importowe płacą, tu już się nie wykręcisz, — podchwycił zaznajomiony z tutejszymi zwyczajami Arlissjanin. — Lescy Strażnicy nie dopuszczają do brzegu ani jednego obcego statku, czy to za dnia, czy nocy. Ale wszystko jedno, wychodzi korzystniej.

Jeśli opłatę za postój przy cumowisku naliczano na podstawie zewnętrznego wyglądu statku, to „Gołąbkowi” port na pewno jeszcze i dopłacał. Gdy zaspany junga<sup>11</sup>, zwabiony krzykami potencjalnych klientów, w końcu raczył oprzeć się łokciami o burtę, rozległ się wyraźny trzask, który zmienił się w smętny zgrzyt gdzieś we wnętrzu ładowni. Wbity w rufę pierścień i konopna cuma była związana z grubą, zniszczoną cumą, po której na brzeg dzielnie

---

<sup>11</sup> junga – (chłopiec okrętowy) kilkunastoletni chłopiec, który zanim zostanie marynarzem pokładowym, pełni różne posługi na statku

migrowały wyliniałe, okrętowe szczury.

— Mam nadzieję, że opinia właściciela o tym statku różni się od mojej w lepszą stronę — z wątpliwością szepnął Rolar, pochylając się ku Orsanie. — Ponieważ mi, jako nieprofesjonaliście, najbardziej przypomina on koryto z dwiema szwabrami<sup>12</sup> i pięcioma rozwieszonymi na nich szmatami do podłogi.

— W gorszą — posępnie mruknął Len, patrząc na kapitana, który raczył pokazać się na pokładzie. — On ma jeszcze i w ładowni przeciek i ten typ kombinuje, uszczelnić go czy też i tak ujdzie...

— Może usiądziemy na kłodzie i powiosłujemy rękami? — markotnie zaproponowała Orsana.

Ale było już za późno — zgniła burta wyraźnie wygięła się pod właścicielem statku. Junga pośpieszył z szacunkiem przytrzymać kapitana za pasek, żeby nie stracić go razem z częścią takielunku.

Kapitan „Gołąbka” był podobny do gнома i orka równocześnie i, najszybciej, był ich wspólnym potomkiem — karłowaty, śniady, z ciemnymi, wypukłymi oczami, rzadką, rudawą brodą i długimi włosami, zebranymi w kucyk z tyłu głowy. Wśród żeglarzy, rozbójników i najemników w ogóle wielu było półkrwi, sensownie nie przyjętych do żadnej rasy i z powodzeniem wybierających rzemiosło niezależnych ochotników.

— Passaże-er-rowie?! — przeciągnął nieufnie jakby nie wierząc własnym uszom. — Nawet i nie wiem... wcześniej jakoś się nie zdarzało... a tu jeszcze i ba... to jest kobieta, a one na statku to całkiem nieszczęście!

— Na ziemi nie lepiej — „pocieszył” go Rolar. — No to jak, zabierzecie? Czterdzieści kładni. Jeśli szybko odstawicie, jeszcze pięć dorzucimy.

Kapitan włożył łapę w wycięcie grubej koszuli i w zamyśleniu podrapał owłosioną pierś.

— A po co wam w Lesk? Tam przecież tego... wampiry. Ichnia dolina.

Len spokojnie odrzucił kaptur, błyskając w uśmiechu kłami. Co dziwniejsze, na kapitanie wywarło to bardzo pozytywne wrażenie. Nawet uśmiechnął się szachrajsko w odpowiedzi:

— Zgoda, w takim razie żaden problem. Przychodzicie o świcie, ale uwzględnijcie — więcej niż godzinę nie będziemy czekać!

Półork-półgnom odsunął się od burty (junga rozwarł palce dłoni i z westchnieniem ulgi oparł się o maszt — który także, nawiasem mówiąc, jakoś podejrzenie zaskrzypiał) i kaczym chodem poszedł z powrotem do kajuty.

„Będziecie jak baranki — uśmiechnął się do siebie Len. — Ale my wrócimy nawet wcześniej”.

---

<sup>12</sup> szwabra –długa łykowata (sznurowa) szczotka do wycierania podłóg, Przygoda z I cz. Opiekunki

\* \* \*

— Odplłynął z pół godziny temu, — ziewnął naczelnik portu nie odrywając oczu od zwitka. „Ale też ci ludzie. Zabiegani. Wpadła — ledwo drzwi z rozpędu nie przebiła, ani dzień dobry, ani proszę, jeno pytania: wstępowali? Dokąd? Kiedy?”

— Naprawdę?! — rudowłosa z rozpaczą wypuściła powietrze.

— Ugh. Tak oto on, pod samym horyzontem, jeszcze z okienka widać...

Do horyzontu dziewczyna się nie ograniczyła — gorączkowo obrzuciła spojrzeniem cały port, zatrzymawszy się na szeroko otwartych drzwiach pustego doku. Konwulsyjnie przełknęła ślinę, zaciskając pięści do wyraźnie zarysowujących się kosteczek.

— Pan nie będziecie oponował, — nieznajoma z wysiłkiem dobierała słowa, wyraźnie ją trzęsło, — jeżeli na chwilę skorzystam z tego tam pomieszczenia?

— A mnie to co... — zaczął gnom ale po dziewczynie już i ślad ostygnął.

Naczelnik portu powiercił się na krzesło, jednak skoncentrować się na obliczeniach tak i się nie udało. Nie wytrzymawszy, gnom podszedł do okna, z ciekawością odsunął firankę.

Rudowłosa wyskoczyła z drzwi, ledwo nie zbiwszy z nóg wspinającego się po stopniach elfa, i utykając pobiegła do doków. Czarna kobyłka zostawiła w spokoju pękniętą skrzynkę z rybami i pobiegła truchtem w ślad za właścicielką, w biegu dozuwając srebrzysty, śledziowym ogon.

Przy drzwiach doku dziewczyna zatrzymała się, ukradkiem rozejrzała się na boki. Rozsiadła i rozkielznała kobyłkę, porzuciwszy uprząż z rzemieniem siodelkowym z torbami wprost na ziemię. Sobie zostawiła tylko miecz i sakwę. Objęła końską mordę dłońmi, na chwilę przytuliła do niej czoło, jakby coś szepcząc, potem wyprostowała się i rozkazująco machnęła ręką. Kobyłka zawróciła i pewnie pogalopowała do Kort-ogł-Elgar.

Dziewczyna wśliznęła się do środka, z wysiłkiem zamknęła za sobą ciężkie drzwi. Gnom poczekał na minutkę. Drugą. Dziesiątą. Potem nie wytrzymał i gwizdem przywołał chłopca-pomocnika:

— Skocz, zobacz, co ona tam robi?

Chłopak wrócił porządnie wystraszony i zaskoczony:

— Tam nima nikogo, panie, tyko na podłodze gryzmoły jakieś się dymią, i sierścią spaloną o zgrozo jak śmierdzi. I krwi tak jakby nakapane...

Gnom półgłosem wspomniał Kowrjużną Matkę. Pomyślał i dla towarzystwa dodał do niej Kulawego Suchorękiego i Podziemnego Cmoka. Wiedźma!

— Widzicie ją, zберите jej rzeczy i do dołu na śmieci wyrzucić, żeby nie wpadły w oczy portowemu magowi, — polecił.

Tylko problemów z Konwentem mu brakowało! Spróbuj potem udowodnić, że nikt jej w rękę nie trącał...

— A cóż jej Pan powie, kiedy wróci? — nie rozumiał pomocnik.

Teleportować się na płynący statek, z którego została tylko niewyraźna plamka na horyzoncie? Tak na to nawet arcymag się nie odważy — trochę pokręcił się po brzegu, w gniewie za brodę się poszarpał i wyniósł się nic nie wskórawszy.

— Nie wróci. Wyrzucaj.

\* \* \*

„Zdążyliśmy” — z niewypowiedzianą ulgą uświadomił sobie Len, na wszelki wypadek trzymając się w pewnym oddaleniu od burty. Za rufą z szumem pieniała się woda, sprzyjający wiatr chętnie zaprzął się w żagle. „A może, mimo wszystko słabo ją znam? Albo... coś się stało?! „Niech to Leszy weźmie, w przypadku Wolhy beczynn timerzenie na paskudztwo przeraża ją jeszcze bardziej niż szczęśliwe urzeczywistnienie! Wampir wyrażając niezadowolenie potrzęsnał głową i odwróciwszy się, poszedł na przód statku. Przyglądać się już i tak nie było na co. Port zniknął z pola widzenia.